

stańczyk

PISMO KONSERWATYSTÓW I LIBERAŁÓW

10/1989



Kraków - Poznań - Warszawa - Wrocław



SPIS RZECZY

STAŃCZYK

Kronika RPR	str.3
Program Wyborczy RPR	5
Tomasz G. - Na prawo patrz! Prezentuj broń!	9
A.M. - Niech żyje Senat, Panowie!	13

KOLIBER

W chwili obecnej	15
Maurycy Rajski - Stąd do nienodległości	16
CHICAGO BOYS: F.A.Harper - Największa dobroczynność ekonomiczna.....	21
A.M. - Nie ma wolności bez elitarności.....	26
Ludwik von Mises - Kto i dlaczego nie lubi kapitalizmu.....	28
A.P. - Śpiesz się powoli, albo o pisaniu konstytucji	30
Rex - Wielkie przetasowanie	32

KONAR

Horacy Galba - Konserwatyzm a chrześcijaństwo	33
Marcin Libicki - Odpowiedzialni za rewolucję	36
Władysław Halicz - Właśnie, z czym komu do twarzy	38
Michał Siuda - Ku własności aktywnej	41
Michał Novak - Wojna idei	43
Ksawery - Zmiany w Chile	46
ŁAD I WOLNOŚĆ	47

LIBERO

Komentarz	49
Wywiad z mec. Siłą-Nowickim	51
Bogdan W. Sękowski - Druga izba	53
Andrzej Stanisławski - Republika bananowa - jutrzeńska swobody	54
Juliusz Kot - Naroďowcy na lewicowym kursie	59
Maurycy Rajski - Nowy wspaniały świat - czyli postępowi intelektualniści w ofensywie	61
Jan Brzechwa - WIERŠE	

ERRATA:

W 9-tym numerze "LIBERO" w KOMENTARZU politycznym znalazły się przykre błędy. Po pierwsze ortograficzne w nazwisku p.THATCHER, a po drugie dwa razy wyleciało z tekstu jedno drobne słowo: ... "Nie"!

Na str.20 w.13 od dołu winien zaczynać się: "U nas fabryka nie płaci za tę usługę policji i w ten sposób sektor państwowy jest sub-sydiowany z funduszy społecznych".

Na str.21 w.21 od góry: "Demonstracja siły spowodowała, że robotnicy nie poszli na lewicowej opozycji i nie zaczęli strajkować."

Komentatora i Czytelników bardzo przepraszamy

R E D A K C J A

RUCH POLITYKI REALNEJ

zawiadamia, że jego przedstawicielem w Stanach Zjednoczonych jest: dr Krzysztof OSTASZEWSKI, Dept.of Mathematics University of Louisville, Louisville, Kentucky 40292 tel. /502/ 588-6826 lub /dom/ /502/ 637-8514.

W stanach Wschodnich konserwatystów i liberałów z RPR reprezentować może: Dr Piotr Swistak, Dept.of Political Science, SUNY at Stony Brook, Stony Brook, NY 11794-4392 tel. /516/ 246-6550.

Dnia 1 marca 1988 roku powstał we Wrocławiu "Klub Konserwatystów im.Aleksandra hrabiego Fredry". Wśród założycieli są sygnatariusze Unii i Ruchu Polityki Realnej. W projekcie statutu podkreślono, że Klub będzie dążyć do odbudowy fundamentalnych wartości cywilizacji łacińskiej, w oparciu o zasady prymatu moralności w polityce, rządów prawa, nienaruszalności własności prywatnej, swobody działania, wolności słowa, silnej władzy rodzicielskiej.

Adresy: Tomasz Gabiś, 51-140 Wrocław ul.Piętaka 9
Henryk Olbrycht, 50-550 Wrocław ul.Wieczysta 65/1
Jerzy Burliński tel. 68-61-92

Kronika RPR

W dniu 19 XI 1988 roku odbyło się w kościele św. Benona na Nowym Mieście w Warszawie uroczyste poświęcenie Sztandaru RPR /błękitny krzyż św. Jerzego, w białym obramowaniu na czarnym tle/. Mszę św. celebrował ks. Stanisław Małkowski, a do mszy służyli: Artur Górski i Adam Gwiazda. W krótkim przemówieniu Janusz Korwin-Mikke wyjaśnił symbolikę sztandaru /Krzyż św. Jerzego symbolizujący walkę o zasady, błękit oznaczający wierność, biel - czystość, a czern jest symbolem wolności, używanym przez wszelkie partie wolnościowe, od chadecji po anarchistów; czystym przypadkiem barwy - ale nie ich układ - zbieżne są z barwami narodowymi Estonii/.

Następnie odbyła się ceremonia poświęcenia. Choraży - Krzysztof Bąkowski podał Sztandar rodzicom chrzestnym - Danieli Borucińskiej i Wojciechowi Zielińskiemu. Ks. Małkowski uroczysto go poświęcił.

Na zakończenie wspominając przemówienie wygłosił Andrzej Mańnica. Wzwał w nim do niezłomnej walki z truczną sacją nam przez formację lewicy i podkreślił zasady, które winny nam towarzyszyć w tej walce.

17 luty 1989 KONGRES RPR

Kongres odbył się w siedzibie S-pni "UNICUM" w Warszawie przy ogromnej absencji - ponad połowy! - sygnatariuszów. Co prawda tylko jeden się nie usprawiedliwił - pozostali naprawdę mieli ważne zajęcia, byli chorzy bądź za granicami - ale było to trochę przykre dla Członków Zwyczajnych, którzy zjechali licznie z następujących miast: Bydgoszcz, Gdańsk, Jelenia Góra, Józefów, Kalisz, Leżajsk, Łódź, Marki, Mława, Ostrów Maz., Pasłęk, Podkowa Leśna, Poznań, Suwałki, Szczecin, Warszawa, Wrocław tradycyjnie najliczniejsza delegacja/. Na sali, poza Członkami, byli zaproszeni goście z grupy Sokołów Polskich.

Drugim rozczarowaniem była sprawa Unii PR. Niestety, władze tradycyjnie przeciągają sprawę rejestracji /odpowiedź Wydz. d/s Społ.-Adm. brzmiała: "Tak, prawnie powinniśmy już udzielić Wam odpowiedzi, ale sami rozumiecie..."; Nb. raz powoływano się na nawał pracy, a raz na brak decyzji Głównego Stołu/. Nie udało się więc jednocześnie z Kongresem przeprowadzić Konwentyku Unii PR. Warto dodać, że część Sygnatariuszów Ruchu /np. Stefan Kisielewski i Stanisław Michalkiewicz/ jest przeciwna owej "podwójnej reprezentacji" - a jest to stanowisko zgodne /o dziwo! z odpowiedzią funkcjonariusza MSW b. wysokiego szczebla, który - przy interwencji o Unię - zbagatelizował sprawę, oświadczając: "Po co Wam to, macie Ruch, uważacie go za legalny, my Wam nie przeszkadzamy..." /w sprawie legalności Ruchu trwa proces wytoczony przez JKM Urzędowi m.st.W-wy - ale nie wiemy, czy zdążymy o wyniku poinformować Czytelników/.

Następnie odczytano wypowiedzi dwóch Sygnatariuszów, którzy - nie mogąc być obecni, przysłali swe wystąpienia na piśmie. Najważniejsza wydaje się teza St. Michalkiewicza, uważającego, że pół Zachodu pragnie pozorów pojednania w Polsce, by móc znów robić interesy. W tym zaś celu wystarczy udzielić opozycyjnym elitom politycznym jakiejś honorowej satysfakcji. Ta sprawa jest już raczej rozstrzygnięta - i stoiśmy tylko przed problemem, czy RPR powinien /o ile zostanie zaproszony.../ wejść w tę pulę. Ceną mogłoby być co najmniej: reprezentacja w Sejmie /i Senacie?/ i licencja na prowadzenie działalności gospodarczej, przede wszystkim wydawniczej, przez Ruch, z zezwoleniem dewizowym włącznie. Jedynym zaś sensem występowania w Parlamencie jest głoszenie skrajnych poglądów liberalnych, by bulwersować opinię publiczną, znudzoną "niekonfrontacyjnymi wyborami".

Następnie wywiązała się żywa dyskusja, w której zabierali głos kol.kol. Dębski, Jasiński, Tyliński, Truchel, Jędraszczyk, Marczuk, Borowski, Gwiazda, Kurzajczyk, Gabiś, Winciorek, Jankowski, Kluźniak, Maśnica. W wyniku dyskusji postanowiono:

- powołać Zespoły d/s Wydawniczych, d/s Gospodarczych oraz Prawa i Polityki. Część Członków zgłosiła od razu udziały do mającego powstać wydawnictwa. Kol. Jędraszczyk przedstawił konieczność ustalenia programu RPR na okres wyborczy - zgłosił własny szkic rozwiązań na terenie gospodarki.

W trakcie przerwy odbyła się konferencja prasowa - zwołana o tyle niefortunnie, że jednocześnie odbywały się konferencje prasowe stron-uczestników obrad Okrągłego Stołu. Tym niemniej z prasy zagranicznej przybyli przedstawiciele agencji jugosłowiańskiej, francuskiej i litewskiej /!/, a z polskiej ZSMP /"Sztandar Młodych"/, Narodowego Odrodzenia Polski /najciekawsze pytania!/ i ZMW /a także kilku dziennikarzy, którzy się nie przedstawili i nie zadawali pytań/.

Sądząc z trudności, z jaką udało się Członków zebrać na drugą część, najciekawsze były dyskusje kulturalne, w których Członkowie nawiązywali więzi poziome. W II części obrad na wniosek kol. Bąkowskiego uzupełniono przez aklamację skład Straży Ruchu, która prezentuje się obecnie jn.:

Leszek BOROŃSKI /Mława/, Tomasz GABIŚ /Wrocław/, Stanisław MICHALKIEWICZ /Warszawa/, Aleksander JĘDRASZCZYK /Warszawa/, Tadeusz MAJEWICZ /Poznań/.

Na wniosek Członków Ko-ordynator zobowiązał się zapewnić do 10 marca:

- lokal dla RPR kontaktowy
- informację o stanie rokowań w sprawie Unii
- sprawozdanie z obrad Kongresu
- program wyborczy Ruchu.

Wnioski o zmianę Statutu RPR /ściślejsze kierownictwo/ i symbolu RPR /zastąpienie "Równości" w hasle "Wolność - Równość - Sprawiedliwość" poprzez "Własność"/ - upadły z powodu braku wyraźnej większości. Powierzono je decyzji Sygnatariuszów po wyjaśnieniu sprawy Unii. To samo odpowiedziano na pytanie postawione przez Ko-ordynatora co do tak tyki przedwyborczej.

Na tym I Kongres zakończono.

za zg.

Ko-ordynator RPR
Janusz Korwin-Mikke

Nasz Program WYBORCZY

Nadchodzi czas próby. Po jednej stronie stoją obrońcy systemu, który od dziesiątków lat gnębi nas i paskudzi naszą ziemię. Po drugiej stronie stoją ci, którzy uniesieni słusznym gniewem chcieliby wstrząsu, który pogrzebałby stary system pod gruzami i zalał naszą ziemię krwią. I jest ogromna rzesza tych, którzy obydwu tych rozwiązań nie chcą - ale wahają się, co czynić, gdyż widzą konieczność zmian.

Dla tej milczącej większości, która nie chce ulec zlotoustym kaznodziejom lewicy ani nacjonalistycznym demagogom - mamy rozwiązanie. Mamy wyjście najprostsze - tak proste, że intelektualni rozszczepiacze włosy na czworo mówią o nim z obrzydzeniem. Nie ma tu nic o alienacji, ani o upodmiotowieniu społeczeństwa. Mówimy o zwykłym rozsądku, o godności człowieka, o naszych tradycjach politycznych - i o rozwiązaniach, które sprawdziły się również gdzie indziej.

Tak, sprawdzili się! Gdy z tym programem wystąpiliśmy przed dziesięciu laty - spotykały nas wyłącznie uśmieški i drwiny. Dziś, gdy pp. Thatcher i Reagan przerwali spiralę upadku swoich państw - choć zrealizowali go tylko w części; gdy program ten głośno najszybciej rozwijające się państwa świata - możemy go z dumą zaprezentować polskiemu wyborcy. Szkoda wprawdzie tych lat dziesięciu - ale może dzięki nim wiemy lepiej nie tylko: CO - ale i: JAK?

Nasz program - to Program WOLNOSCI! O, tak - wiemy, że wolność obiecują wszyscy, z socjalistami na czele. Nie o takiej wolności jednak myślimy i mówimy. Mówimy o zwykłej ludzkiej wolności od ucisku maszyny państwowej - ale także i od jarzma, które sami na siebie mimo woli wkładamy. Mówimy o wolności pod strażą praw - wypróbowanych przez stulecia dobrych praw i obyczajów. Praw, które zapewniały dostatek pokoleniom Polaków i ściągały na nasze ziemie licznych cudzoziemców - praw, które zapewniały ład na obszarze całej Rzeczypospolitej. Tych samych praw, które dały potem potęgę Stanom Zjednoczonym Ameryki - a które w przyszłości - uzupełnione dzięki doświadczeniu - dadzą znowu potęgę naszemu krajowi.

Wolność według wzoru socjalistów dała rezultaty odwrotne. Iluż zdolnych i pracowitych Polaków wyjechało za granicę? Ile byłych ziem Rzeczypospolitej bytuje w jeszcze gorszych, niż nasze - warunkach? Nie będziemy siłą tych Polaków do kraju ściągać - ani tych ziem przyłączać; jednak moralna i gospodarcza siła naszej Ojczyzny sama będzie dla nich ogromnym magnesem. Tak! Uzdrawienie Polski jest łatwe - gdy się chce, gdy się może i gdy się wie jak.

Nie wszyscy chcą.

Ci, co mogą - nie chcą. Ci co chcą - nie wiedzą jak.

Ci, co wiedzą - nie mogą.

MY WIEMY. MY CHCEMY. OD CIEBIE ZALEŻY, CZY BĘDZIEMY MOGLI!

ODDAJ SVOJ GŁOS NA RUCH POLITYKI REALNEJ !

DOMAGAMY SIĘ:

A - Zupełnej zmiany zasad działania państwa. Nie cele muszą być ważne - ale środki. Kto wie, co nam przyniesie przyszłość? Kto wie jaka polityka jest korzystna? (Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło) - i historycy co i raz odkrywają, że wymyślne sztuczki polityków po latach przynosiły skutki odmienne od zamierzonych. Jednak deprawacja moralna szerząca się wskutek tego, że przywódcy oszukują - pozostaje i trwa przez pokolenia.

Państwo i jego funkcjonariusze przede wszystkim muszą więc stosować godziwe środki. Gdy chcą, by ludzie nie kradli - sami muszą własność prywatną uznawać za świętą i nienaruszalną. W przypadku konieczności przejęcia nieruchomości - państwo musi zapłacić jej wartość plus odszkodowanie za straty moralne. Nie może być dopuszczalna kara konfiskaty mienia. Nie wolno - poza koniecznością złapania przestępcy na gorącym uczynku - pozbawiać nikogo wolności bez orzeczenia sądowego: zatrzymamy przed południem powinien być stawiony przed obliczem sędziego jeszcze tego samego dnia - a zatrzymany później: do godziny dziesiątej dnia następnego. Tajemnica korespondencji musi być bezwzględnie przestrzegana. Władze nie mogą się też posiłkować informacjami anonimowymi.

B - Fundamentem etyki jest religia. Wyżnawanie - bądź nie - jakiegokolwiek wiary musi być sprawą najzupełniej prywatną, a Kościół musi być oddzielony od państwa. Fundamentem naszej cywilizacji jest wszakże chrześcijaństwo, a kultura nasza jest katolicka; państwo nie może więc pozostawiać wątpliwości, że na terenie publicznym obowiązują zasady tej etyki. Kościołom muszą też zostać zapewnione odpowiednie uprawnienia z całkowitą swobodą organizacji wewnętrznej na czele, a z uwagi na dominującą rolę Kościoła Rzymsko-Katolickiego: zapewnione specjalne stosunki z Watykanem. W tej dziedzinie posuwamy się zresztą we właściwym kierunku.

C - Gdy państwo postępować będzie moralnie - obywatele sami znajdą rozwiązania swoich problemów. Domagamy się ścisłego przestrzegania zasady: każdy jest kowalem swojego losu! Państwu nie wolno matkować swoim obywatelom - bo to musiałoby być czynione kosztem innych, którzy wcale sobie tego, być może, nie życzą. A jeśli sobie życzą - to powinni sami mieć te pieniądze zaofiarować na działalność charytatywną, która powinna być nieopodatkowana.

Będziemy się też domagać zniesienia wszelkich dotacji, subwencji, zapomóg, podatków specyficznych - będących w istocie kupowaniem sobie przez administrację opinii dobrego wujaszka - na koszt innych. Państwo powinno pozostawić obywateli samym sobie - i pozwolić im troszczyć się o własny los.

D - Gwarantem swobód jest prawo. Prawo musi być jasne i stabilne, zrozumiałe dla wszystkich i powszechnie szanowane. Musi być dostosowane do miejscowych obyczajów - albo przez zezwolenie na lokalne zmiany praw, albo przez pozostawienie sędziom dużej swobody w interpretacji prawa.

Będziemy walczyć o zmianę podstaw naszego prawa, o usunięcie obcych, hańbiących naleciałości. Jakże cofnęliśmy się w ostatnich latach! Kodeks Napoleona /obecnie art 2 kc franc./ mówił jasno: "Prawo stanowi tylko na przyszłość; nie ma żadnych skutków wstecznych". Dziś "polski" kc. powiada /art.3/ po orwellowsku: "Ustawa nie ma mocy wstecznej, CHYBA, ŻE TO WYNIKA Z JEJ BRZMIENIA LUB CELU"! Będziemy walczyć o zmianę Art.5 kc.: "Nie można czynić ze swego prawa użytku, który by był sprzeczny z zasadami współżycia społecznego w PRL lub ze społeczno-gospodarczym przeznaczeniem tego prawa"! "Prawo" oparte na takich zasadach w ogóle nie jest prawem - jest narzędziem do niszczenia przeciw-

ników. Dopóki takie będą podstawy - nie pomogą najlepsi sędziowie.

Stanowczo domagać się też będziemy, by kodeks jasno stwierdził /znów za francuskim kc./: "Umowy prawnie zawarte stanowią prawo dla tych, którzy je zawarli". Tak! Nie państwo - lecz ~~my~~ tworzymy większość praw - a aparat państwa ma służyć, by te umowy były dotrzymane w naszym interesie. Skargi z oskarżenia prywatnego muszą być traktowane nie gorzej, niż z publicznego. Jeden kodeks obowiązywać też musi wszystkie osoby, fizyczne i prawne, prywatne i "uspołecznione", a urzędnicy państwowi - a także sportowcy... - muszą być traktowani tak samo jak wszyscy.

E - Będziemy się starali doprowadzić do ścisłego trój-podziału władz:

F - Za najważniejszą uważamy władzę sądowniczą. To sądy powinny ostatecznie decydować o zgodności działań z prawem, a prawa z Konstytucją. Popieramy dotychczasowe zmiany w ustroju sądów - ale uważamy je za niewystarczające. Korpus sędziowski musi być całkowicie samodzielny, oddany tylko dbaniu o literę prawa i zgodność z ogólnymi normami. W skrajnie wyjątkowych przypadkach ingerować mogłby wyłącznie Prezydent lub Rada Państwa na wniosek 3/4 Senatu. Zawodowi sędziowie powinni być bardzo wysoko płatni i nieusuwalni. Sądy muszą też mieć prawo do natychmiastowego wstrzymywania wszelkich działań niezgodnych z prawem - nie mogą natomiast się mieszać do orzeczeń merytorycznych /np. cytowany wyżej art.5 kc. mogłby skłaniać sądy do orzekania, że Urząd Celný słusznie konfiskuje książki Józefa Mackiewicza, natomiast konfiskaty książek Cata-Mackiewicza są sprzeczne z zasadami współżycia".

G - Będziemy dążyć do reformy systemu kar, ograniczając grzywny i więzienia na rzecz innych kar. Nie możemy być krajem konfiskat - i krajem, w którym za kratami przebywa najwięcej więźniów w Europie! Karę śmierci chcemy ograniczyć jedynie do ciężkich przestępstw popełnionych z premedytacją - w zasadzie więc do morderstw. Jednakże karę śmierci za morderstwo chcemy zdecydowanie utrzymać: społeczeństwo nie może tolerować takich zbrodni - a od ewentualnej łaski jest Prezydent, a nie prawo!

H - Chcemy ukrócić nadmierną płodność władz ustawodawczych. Każde z ciał: Prezydent, Rada Państwa, Senat i Sejm powinien być wybierany inaczej, by składał się z innych ludzi. Do przejścia ustawy potrzebna byłaby kwalifikowana większość w każdym z tych ciał, a także poparcie pewnej liczby 3/4, jak w USA? /lokalnych sejmików. Ustawy powinny też być ogłaszane na wiele miesięcy lub nawet lat przed wejściem w życie. Będziemy dążyć do zmniejszenia liczby posłów i senatorów. Część kontroli nad egzekutywą powinny też od legislatury przejąć sądy.

I - Natomiast ustawy, które przejdą przez to sito, winny być bezwzględnie wykonywane. Dlatego chcemy mieć silną egzekutywę, zajmującą się tym, do czego jest powołana - a nie gospodarką, opieką społeczną, szkolnictwem i dziesiątkami innych czynności, które lepiej wykonują osoby prywatne.

J - Najważniejszym zadaniem państwa jest ochrona jego suwerenności. Będziemy dążyć do zwiększenia suwerenności Polski - a do tego celu potrzebujemy silnej armii. I Rzeczpospolitą zgubił brak pieniędzy na silną armię zawodową - i oparcie się na pospolitym ruszeniu, czyli powszechnej służbie obywateli. Dokładnie to samo mamy dziś!

Kierownictwo polityczne wojska /a także policji i spraw zagranicznych/ chcemy pozostawić PZPR /najlepiej za pośrednictwem partyjnego Prezydenta/. Natomiast zawodowy korpus oficerski i żołnierski powinien być autonomiczny. Z chwilą wybuchu wojny, powinien nim dowodzić zawodowy wojskowy, a nie cywil.

Oprócz armii zawodowej proponujemy przeszkolenie ogółu ludności męskiej na wzór szwajcarski. Domagamy się też zwiększenia budżetu woj- skowego kosztem opieki socjalnej. Wówczas zarabiać będą ludzie pracy - a nie obiboki i wydrwigrosze.

K - Policja powinna być wysoko opłacana i znacznie sprawniejsza, niż obecna. Płacąc dużo - będziemy mogli wymagać, by policjanci nie brali łapówek i łapali złodziei - zamiast odwalania w biurze papier- kowej roboty.

Przewidujemy też możność tworzenia policji lokalnych, a nawet prywatnych.

L - Terenowe organa władzy pochodzić winny z wyboru ludności. Dotyczy to zwłaszcza szczebli najniższych. Ziemie wchodzące w skład Polski /obecny podział na województwa uważamy za wadliwy!/ powinny móc ustanawiać własne, lokalne prawa, pod warunkiem ich zgodności z ustawodawstwem zasadniczym. Powinny mieć własną policję i własne pie- niądze.

M - Władzom lokalnym powinna też być powierzona troska o środo- wisko naturalne. Ziemie zanieczyszczające cudze tereny powinny płacić ogromne odszkodowania, które uczyniłoby ochronę środowiska opłacalną. W szczególności powinna być mierzona czystość rzek wpływających i wy- wpływających z województwa.

N - Gospodarka powinna być całkowicie zreprivatyzowana, a Konstytu- cja powinna zakazywać Państwu wszelkiej ingerencji w ekonomię. Chce- my dojść do tego stanu przez:

- 1/ Rozpisanie wszelkiej własności państwowej na akcje.
- 2/ Sprzedaż tych akcji wg. ich rynkowej wartości - ze szczególnym uwzględnieniem pracowników oraz mieszkańców, podobnie jak już od dawna sprzedaje się domy kwaterunkowe, ze zniżką 50% dla mieszkańców.
- 3/ Z chwilą powstania tych spółek państwo powinno ograniczyć się do roli arbitra.

O - Wpływy do budżetu pochodzić mogą wyłącznie z podatków. Podatki powinny być możliwe płaskie, nie karzące za zwiększoną aktywność za- wodową i jednakowe dla wszystkich.

Emisja pieniądza musi być niezależna od Rządu, a nawet od Sejmu. Bank powinien być całkowicie niezależny, a druk inflacyjnego pieniądza ścigany sądownie z oskarżenia o fałszerstwo banknotów.

P - Reprivatyzować chcemy również szkolnictwo - od wyższego za- czynając. Nie można dopuścić, by mniej zamożna i zdolna młodzież, zmu- szona do pracy, płaciła podatki na zamożniejszych i zdolniejszych, cho- dzących na studia. Za to zdejmiemy wszelkie bariery zarobków - i po studiach zdolni młodzieńcy będą mogli zarabiać bardzo dużo, co niewąt- pliwie podniesie sprawność nauczania..

Opowiadamy się też za zniesieniem przymusu szkolnego - i przymusu ko-edukacji. O rodzaju szkół muszą decydować rodzice. Nie widzimy też powodu, by w każdym zakątku Polski dzieci uczyły się z tych samych pod- ręczników. Dotyczy to również wszelkich mniejszości, które będą mogły zakładać sobie własne szkoły z dowolnym językiem wykładowym.

R - Chcemy zatem przywrócić decyzje w wielu sprawach najważniej- szej osobie;

CZŁOWIEKOWI PRACY I OJCU RODZINY

Ci ludzie są najbardziej produktywni. To oni wytwarzają 9/10 do- chodu narodowego. Tymczasem o jego podziale decydują młodzieńcy, ko- biety, emeryci, obiboki i biurokraci. To te grupy decydują też, gdzie mają się kształcić dzieci, i jaką fabrykę samochodów zakupi Polska.

Dlatego jak najwięcej decyzji chcemy przerzucić właśnie na tych, co pieniądze zarabiają i pieniądze mają. Kopalnia złota by zbankrutowała, gdyby ćwierć rady nadzorczej stanowiły kobiety, ćwierć emeryci, a ćwierć praktykanci!

S - Konsekwentnie domagamy się przywrócenia prawnego pojęcia głowy rodziny - i powierzenia jej właściwych decyzji. Gdy ojciec nie może dziecka wyrzucić z domu, nie może wybrać dlań szkoły /a w Szwecji nie może nawet sprać/ - władza rodzicielska staje się fikcją, rośnie młodzież, którą potem, gdy już jest za późno, musi poskramiać policja.

T - Jesteśmy przekonani, że te zmiany prawne same doprowadzą do odrodzenia się tradycyjnej rodziny, z tradycyjnym podziałem ról. Nie będziemy w to ingerować - z jednym wyjątkiem: domagamy się delegalizacji abortów. Życie ludzkie musi być święte - i zabójcy muszą być karani. W przeciwnym przypadku za dziesięć lat dowiemy się, że i dwuletnie dzieci też można zabijać, by zrobić miejsce dla innych.

Kategorycznie zaś i od zaraz żądamy, by decyzja w tej sprawie nie należała tylko do kobiety, ale i do jej męża, który ma co najmniej takie samo prawo do decydowania o losie swojego dziecka - i by przerywanie ciąży nie odbywało się na koszt społeczeństwa, co czyni wiele osób mimowolnymi współnikami czegoś, co uważają za zbrodnię! Z ich punktu widzenia składka na ubezpieczalnię to to samo, co przymusowa składka na komory gazowe w Oświęcimiu.

U - Cenzura musi być znacznie ograniczona, wyłącznie represyjna, nie dotycząca prac naukowych i rzeczowych. Dotyczyć może też wyłącznie dzieł sprzedawanych publicznie - a nie prywatnie, imiennie - np. w prenumeracie.

X X X X X X X X

Dojrzelismy obecnie do naprawę radykalnych zmian. Bez tego nie uratujemy Polski. To, co proponujemy to nie tylko najbardziej zasadnicza zmiana - ale też i zmiana, którą można przeprowadzić gładko, przy zachowaniu ciągłości władzy.

Dajcie nam szansę!

G Ł O S U J C I E N A R P R ! !

Na prawo patrz! Prezentuj broń!

Gazeta Polskich Sił Zbrojnych "Żołnierz Wolności" /1989 nr 4/ zamieściła rozmowę z ministrem obrony narodowej i członkiem Biura Politycznego KC PZPR generałem armii Franciszkiem Siwickim. Nie wiem dlaczego "Żołnierz Wolności" wydrukował tę ze wszech miar interesującą rozmowę na trzeciej a nie na pierwszej stronie. Trochę to dziwne obyczaje, ale nie będę się wtrącał w wewnętrzne sprawy redakcji.

Wypowiedzi p.gen.Siwickiego są jak już powiedziałem interesujące lecz przy ich lekturze towarzyszyły mi wątpliwości i obawy. Nie chciałbym, aby publiczne wyjawienie tych obaw uznane zostało za wyraz niechęci wobec armii czy też oświadczenie wobec p.gen.Siwickiego. Przeciwnie do kwalifikacji i kompetencji p.Generała mam zaufanie a jako konserwatysta uważam za konieczne istnienie silnej armii, zdolnej do obrony naszej wolności. "Pokój przez siłę" - to hasło jest mi bliskie.

Ataki pacyfistów, anarchistów i innych lewicowców na armię uważam za wielce szkodliwe. Powodują one wyłącznie troska, która jak sądzę usprawiedliwia ostre sformułowania. No, ale w końcu polemizuję nie z sentymentalną panienką z "WiP"-u ale z żołnierzem, który przyzwyczajony jest do pewnej dozy agresywności.

P.Generał mówi: "nasza armia świadczyć będzie aktywnie tak jak dotychczas na rzecz rozwoju gospodarczego kraju, zwłaszcza w rolnictwie, transporcie, budownictwie, a także w niektórych dziedzinach przemysłu. W 1988 roku wojsko zmeliorowało ponad 5100 ha użytków rolnych, odbudowało system melioracji na 32 000 ha, zrekultywowało około 2000 ha gruntów rolnych". Doprawdy nie jest to żaden powód do dumy. Monteskiusz w "Uwagach nad przyczynami wielkości i upadku Rzymu" pisał: "nasze armie bardzo marnieją z powodu nieumiarkowanej pracy żołnierzy a nade wszystko przez kopanie gruntów". Trzeba powiedzieć sobie jasno: "armia ma być zdolna do prowadzenia wojny a nie do kopania gruntów i hodowania świń w ramach gospodarki przykaszarowej". Niech się wojskowi sami nie biorą za gospodarkę, lecz niech chronią ludzi, którzy pracują i tworzą bogactwa przed wrogami pragnącymi korzystać z owoców cudzej pracy. Wówczas będą oni sowiecie ich opłacać i nie poskąpią pieniędzy na kosztowny sprzęt i uzbrojenie. Armia jest od wydawania pieniędzy a nie od ich zarabiania i świadczy na rzecz społeczeństwa utrzymując wysoką gotowość bojową a nie zbierając ziemniaki w PGR-ach.

Niestety muszę z przykrością stwierdzić, że w wypowiedziach p.Generała pada wiele stwierdzeń bardziej pasujących do młodocianego aktywisty ruchu pacyfistycznego świeżo po lekturze dzieł p.prof. Grzegorzka niż do człowieka stojącego na czele armii. Co np. znaczy wyznaczenie, że "jesteśmy zdecydowanymi zwolennikami niestosowania siły". Gdyby p.Generał powiedział: "Jesteśmy zdecydowanymi zwolennikami niestosowania siły wobec silniejszych od nas", to powiedziałaby rzecz słuszną i w pełni do zaakceptowania.

Albo co oznacza taka deklaracja: "Uznajemy niezbędną potrzebę rozwiązywania wszelkich /podkreśl.moje-T.G./ kwestii spornych jedynie drogą pokojową, nieingerencji w sprawy wewnętrzne innych państw oraz ich pełnego równouprawnienia". Historia świata pełna jest kwestii spornych, których rozwiązanie było możliwe w y ł ą c z n i e przy użyciu siły. Gdyby było inaczej armie nie byłyby potrzebne. W jaki sposób osiągnąć równouprawnienie państw w świecie, w którym istnieje Francja i Monaco, ZSRS i Dania, USA i Grenada, Chiny i Nepal? Po co obiecywać nieingerencję skoro raz na zawsze wykluczyć się tego nie da. W końcu nie pozostanie nic innego jak interwencja w celu obrony zasady nie-interwencji.

P.gen.Siwicki jak przystało na ministra o b r o n y narodowej a nie ministra wojny stale mówi o obronie, o doktrynie obronnej itd. Ale czysta obrona jest sprzeczna z samym pojęciem wojny - stwierdził to już Clausewitz. Armia musi być zdolna do zadania pierwszego ciosu. Nie wolno z tej zdolności rezygnować pod groźbą stania się wyłącznie przedmiotem międzynarodowej gry politycznej. Do czego prowadzi przyjęcie wyłącznie obronnej doktryny strategicznej niech świadczy przypadek Francji z okresu II Wojny Światowej. Francuzi we wrześniu 1939 nawet gdyby chcieli to i tak nie mogliby pomóc Polsce, gdyż nastawieni byli wyłącznie na obronę - linia Maginota! Przyjście z pomocą Polsce wymagałoby błyskawicznego i potężnego ataku na Niemcy. Francja nie była do tego zdolna i dlatego przegrała wojnę już w 1939 roku. Zdolność do ataku jest konieczna inaczej w ogóle traci się zdolność do wygrania wojny.

P.gen.Siwicki mówi: "Dlatego za kolejną podstawową zasadę naszej polityki uznajemy dążenie do ograniczenia zbrojeń aż do c a ł k o w i t e j i c h l i k w i d a c j i" /podkreśl.moje-T.G./. Doprawdy nie jest specjalnie krzepiący fakt gdy generałowie deklarują się jako wyznawcy pacyfistycznego utopizmu. P.gen.Siwicki wyjawia, że państwa Układu Warszawskiego wykazują dobrą wolę, dają dowody swych pokojowych

intencji, podejmują jednostronnie daleko idące przedsięwzięcia rozbrojeniowe, że otwierają "kredyt zaufania" chcąc zainspirować drugą stronę do podobnych działań, że decyzje rozbrojeniowe podejmowane są niejako na "kredyt" w sposób wyprzedzający itp. Byłoby może na miejscu gdyby takie postulaty wobec swoich rządów wysuwali opłacani przez nas pacyfistyczni aktywiści w krajach uznawanych przez Polskę za "wrogów". Taka retoryka nie wpływa korzystnie na morale kadry oficerskiej. Może to i dobrze, że "Żołnierz Wolności" /wiem to z własnych doświadczeń/ nie jest jej szczególnie ulubioną gazetą. Pamiętać trzeba, że "pacyfizm nie tylko nie zdołał powstrzymać od wojen, lecz nawet do nich podniecał, przez to, że przeprowadzał rozbrojenie 'moralne' i materialne u niektórych narodów" /Roman Rybarski "Naród, jednostka, klasa", Warszawa 1926/. Inny autor potwierdza zdanie prof. Rybarskiego: "...wyścig zbrojeń" nigdy nie doprowadził do wojny. Wprost przeciwnie, większość wojen ostatnich stuleci wybuchła tylko z tego powodu, że jedna strona albo wiedziała albo przypuszczała, że druga strona nie jest wystarczająco uzbrojona. Teza ta sprawdziła się w wojnach napoleońskich, w pruskiej wyprawie przeciwko Danii w roku 1864, w pruskiej wojnie przeciwko Austro-Węgrom w roku 1866, w pruskiej wojnie z Francją 1870, w kilkunastu wojnach na początku XX wieku, w pierwszej wojnie światowej w 1914 roku, w drugiej wojnie światowej w 1939 roku. Każda z tych wojen wybuchła - a istnieją na to góry udokumentowanych dowodów - ponieważ jedna strona przypuszczała, że ta druga strona jest niedostatecznie uzbrojona. Nie było ani jednej wojny we współczesnej historii, której wybuch można udowodnić 'wyścigiem zbrojeń', natomiast istnieje wiele głośnych wypadków napięcia wojennego, które się w ostatnim momencie rozluźniło, gdy okazało się, że zagrożone państwo jest przygotowane do odparcia napadu /W. Schlamm "Granica cudu"/. Nie sądzę, żeby p. Generał o tym nie wiedział. Świat nigdy nie składa się z samych "przyjaciół". Płonne są nadzieje, że rozbrojenie jednostronne czyli własna słabość zamieni "wrogów" w "przyjaciół". Pamiętajmy o przestroze Gustawa LeBona: "Naprawdę pacyfistyczne narody szybko znikają z historii". P.gen.Siwicki jest tego świadom, gdy podkreśla wagę korzystnych sojuszków, unikania bezpośredniego zagrożenia i wreszcie kiedy stwierdza, że "w ocenie sytuacji musimy kierować się realizmem, który nakłada na Polskę obowiązek utrzymania zdolności obronnej stosownie do skali potencjalnego zagrożenia".

P.gen.Siwicki skarży się, że "państwa NATO jak dotychczas pozostają zwolennikami polityki z pozycji siły, chociaż oficjalnie głoszą ideę 'równoważonego bezpieczeństwa'". Podejrzewam, że politycy i wojskowi NATO liczą się ze swoją klientelą wyborczą, w wypowiedziach podobnych do wypowiedzi p.gen.Siwickiego snują różne dywagacje na temat rozbrojenia, równoważonego bezpieczeństwa itp. Są jednak na tyle odpowiedzialni, tak jak odpowiedzialny jest p.gen.Siwicki, żeby swoich wypowiedzi nie traktować jako czegoś wiążącego dla rozstrzygnięcia kwestii narodowego bezpieczeństwa. Osobiście jestem za polityką prawdy, no lepsze to, przede wszystkim dla narodów, którymi rządzą, niż gdyby rzeczywistość wierzyli w to co mówią. Dotyczy to rzecz jasna również polskich polityków i wojskowych. Nie ma sensu oskarżać kogokolwiek o to, że prowadzi politykę z pozycji siły, bo bez użycia siły lub bez groźby jej użycia w ogóle nie może być mowy o polityce. Przeciwnieństwem polityki z pozycji siły jest polityka z pozycji słabości. Zamiast mieć pretensję do innych, że są silni trzeba samemu być silnym. O tym, że p.gen.Siwicki rozumie to zagadnienie świadczy jego stwierdzenie: "Podstawowym celem są takie przekształcenia, w wyniku których armia będzie licznie mniejsza ale wyróżniająca się jakością, mobilnością, zdolnością sprostać wymogom bezpieczeństwa narodowego". Nie bardzo rozumiem jednak zapewnienia p. Generała o ograniczeniu dostaw uzbrojenia i sprzętu. Uważa on, że ograniczenie budżetu wojskowego jest sposobem "wyzwolenia dodatkowych środków na rzecz gospodarki na-

rodowej". Chodzi jednak o to, żeby prężna i dynamiczna gospodarka a więc oparta na własności prywatnej i wolnym rynku dostarczała odpowiednich środków na rzecz armii. I do tego należy dążyć. Słusznie akcentuje p. Generał fakt, że wydatki na opiekę społ., służbę zdrowia, oświatę i wychowania wielokrotnie przewyższają wydatki na wojsko. W miarę przechodzenia Polski na system gospodarki rynkowej /w jej ramach powinniśmy i będą działać prywatne firmy zbrojeniowe/ i ograniczania roli rządu trzeba będzie redukować wydatki na "socjał" a zwiększać na nowoczesne uzbrojenie. Rzeczą godną rozważenia przez polskie czynniki polityczne i wojskowe winno być wyposażenie armii w broń atomową.

Trzeba brać pod uwagę fakt, że Polska po wkroczeniu na drogę reform liberalnych wzbogaci się. Dlatego musi równocześnie wzmacnić się wojskowo, gdyż bogactwo-słabość-podbój.

Unowocześnienie armii powinno zakładać nie tyle zmniejszenie jej liczebności co przekształcenie ją w armię zawodową. Jest wiele argumentów przemawiających za takim rozwiązaniem. Pomijam już wyższą jakość i lepsze wyszkolenie żołnierzy zawodowych. Armia zawodowa jest mniej zbiurokratyzowana - oficerowie przestają być maszynami do pisania. Ważne są również aspekty polityczne. Armie ludowe mają swe korzenie w wojnie domowej i rewolucji a równocześnie do rewolucji i wojny domowej mogą prowadzić. Jeden z historyków pisze o żołnierzu francuskim, który, podпиты, trzymając w ręku nóż mający służyć żołnierzom do walki wręcz mówi: "Rzadano nam noże do walki z Boszami, ale po wojnie posłużą nam do czego innego". Było to w roku 1870. Zbliżała się krwawa kolumna paryska. Pamiętajmy, że powszechny pobór obejmuje również ludzi zdemoralizowanych, elementy na poły kryminalne itd. Oni właśnie nadają ton, gdy wystąpi kryzys systemu państwowego. A wówczas, jak to ujął gen. Dowbór-Muśnicki - naoczny świadek rewolucji w Rosji, to co nosi jeszcze nazwę "armii" jest w rzeczywistości zrewolucjonizowaną tłuszcą. Kilka lat temu w którymś z wrocławskich pism, bodajże w "Biuletynie Dolnośląskim" przeczytałem wezwania do tworzenia w wojsku rad żołnierskich. Groźba bolszewizmu jest więc nader realna.

Na koniec jeszcze jedna sprawa wielkiej wagi a mianowicie upolitycznienie wojska. Tradycja politruków wywodzi się z rewolucji francuskiej 1789 roku. W armii ludowej są oni konieczni po to, aby podniecać przymusowo wcielonych do wojska poborowych do walki, wpajać im nienawiść do wroga itp. W historii wojen oficerowie polityczni nie zapisali szczególnie pięknej karty. Rząd Kierieńskiego przysłał do Naczelnego Dowództwa armii rosyjskiej w roli komisarza Sawinkowa, którego jedynym związkiem z wojskowością było rzucenie bomby na gubernatora w Odessie. Adolf Hitler rozpoczął swoją polityczną karierę od funkcji oficera oświatowego /Bildugsoffizier/. Tak pisze o swej działalności: "Mogę mówić o sukcesie: setki, a chyba i tysiące towarzyszy broni przywiodłem w trakcie mych wykładów z powrotem do narodu i ojczyzny" /"Mein Kampf", Monachium 1942 s.235/. Później stał się, można powiedzieć, głównym politrukiem armii niemieckiej, którą obsadził tysiącami mniejszych politruków.

W armii zawodowej oficerowie polityczni nie będą potrzebni, bo żołnierze walczą za pieniądze a nie w imię praw człowieka, demokracji, socjalizmu, Tysiącletniej Rzeczy itd. Swoją drogą ciekawe jest jak przy publicznych deklaracjach o rezygnacji z monopolu władzy chce PZPR utrzymać swoją pozycję w siłach zbrojnych - dotychczas ani ZSL ani SD nie miały w wojsku możliwości działania. A co będzie jak do życia politycznego wkroczą inne jeszcze partie i organizacje? Czy spory polityczne nie zagrażą spoiwości i wartości bojowej armii? Przypomnijmy opinię człowieka kompetentnego - Winstona Churchila: "Zadna armia nie może być tworzona według klucza partyjnego bez bardzo poważnej szkody dla swej sprawności wojskowej. Prawdziwe koleżeństwo broni umiera, jeśli zaczyna się wesenie herezji. Oficerowie awansują wówczas nie za wartości fachowe, ale za zasługi partyjne. Kwasy i pretensje zatrzymują każdy stopień i każdą formację. Kiepski oficer idzie w górę za

wygaszanie ortodoksyjnych doktryn politycznych. Odważni ludzie, potrzebni w bitwach, nie nadają się do takiej gry". Dodajmy w tym miejscu, że najgorsza formacja w armii niemieckiej - Luftwaffe, posiadała największy odsetek członków partii narodowosocjalistycznej.

Lepiej moim zdaniem dążyć do stworzenia odpolitycznionej armii zawodowej niż doczekać chwili gdy inni będą chcieli wyprowadzić partię z wojska po to tylko by wprowadzić tam swoich ludzi. Ale czy moje zdanie podziela generałowie?

Na zakończenie apeluję do polskiej elity wojskowej: "Nie licytujcie się z pacyfistami, bo nie taka jest wasza rola! Pamiętajcie zawsze o tym co napisał W. Schlam: "Kto nie jest zdolny do prowadzenia wojny, pozostaje człowiekiem honoru, ale tylko wówczas, gdy nie stara się o patent oficerski. Kto jednak wspina się na pozycję siły, by głośić tam sentymentalne brednie, jest pozbawionym godności głupcem".

Tomasz G.

NIECH ŻYJE SENAT, PANOWIE!

"Panowie utrzymują, że trzeba nas ratować od demokracji... Jakież jednak proponują środki? Demokratyczne Zgromadzenie ma być kontrolowane przez demokratyczny Senat, obie zaś te instytucje przez demokratyczny Sąd Najwyższy"

Alexander Hamilton

Znany jest aforyzm J. Mackintosa: "konstytucji się nie tworzy, one rosną". Zdaje sobie sprawę z tego, że fabrykowanie konstytucji pozbawione jest sensu: konstytucje są rezultatem wszechstronnego oddziaływania obyczajów na przestrzeni wieków. Toteż mój tekst proszę traktować jako próbę jedynie skreślenia kilku uwag o środkach organicznych, które tworzą ramy (warunki) dla rozwoju konstytucji - mam na myśli pewne zasady istojące za nimi instytucje. "W odradzających się społeczeństwach - pisał Monteskiusz - przywódcy tworzą instytucje, następnie zaś instytucje kształtują przywódców". Nic dodać, nic ująć.

Skonstatujmy istnienie trzech zasadniczych słabości systemu politycznego w Polsce: brak Głowy Państwa, absurdałne prawo wyborcze i brak Izby Wyższej. Powyższe cechy składają się na system rządzącego Parlamentu, czyli istnienie wielogłowej władzy wykonawczej w Polsce. Źródłem wszelkiego zła w rodzimym systemie władzy jest właśnie o m n i p o t e n c j a suwerennego Sejmu. Sejm rządzi; wyznacza urzędników, których nie zna, do działań, na których się nie zna, a równocześnie wyrzeka się kontroli nad rządem (bo nie można rządzić i skutecznie kontrolować rządzących); im silniejszy jest Sejm, tym znaczącej jest postępek socjaletatyzmu - gdy silny Sejm rządzi ministrami, często ich obala. Ponieważ ich obala, nie ministrowie rządzą - ale ich biurokratyczni podwładni. Kadencje sejmów się kończą, rządy odchodzą - tylko urzędnicy pozostają; sejm mnoży ustawy, będące w istocie dekretami i dlatego, że posiada w tym przedmiocie niczym nie ograniczone prerogatywy, że może uchwalić wszystko, za wyjątkiem ustawy o zmianie pogody z dżdżystej na słoneczną, uchwały o właściwym przychodzeniu na świat itp. aktów - jest zmuszony d e l e g o w a ć swe najbardziej istotne uprawnienia na rzecz administracji. Najbardziej spektakularnie przykłady tego procesu stanowią m.in. "dobrowolne" podatkowanie, pożyczki narodowe, tzw. ukryte przepływy i tajne wpływy budżetowe. Epoka tyranii Sejmu to epoka czarodziejów podatkowych, kuglarzy finansowych, prestidigitatorów budżetowych. Jak ów francuski minister finansów na każdorazowe nalegania o pieniądze ze strony pani de Pompadour, tak i oni na każdorazowe roszczenia finansowe grup nacisku ze stoickim spokojem odpowiadają: "jeśli to jest możliwe już jest zrobione, jeśli nie jest możliwe - będzie zrobione".

Moderny z pełną odpowiedzialnością powtarzyć to St. Caumont-Mackiewiczowi, że "Sejm w pomysłowym wypadku doprowadzi do własnej śmierci. W niepomysłowym do śmierci Polski", - niestety. Niemożność (zgoła fizyczna) egzekucji niezliczonych płodów pracy parlamentarnej wiedzy do tego, że biurokracja drogą niepisanego paktu z ludnością (w systemie tzw. wzajemności prawodawczej) doskonali i uelastycznia prawo - a sejm maksymalizmem swych pomysłów, ich despotyzmem, wprowadza w państwie stan prawny, który bez całkowitego zrujnowania społeczeństwa wprowadzony być nie może.

Hasło demokratyzacji systemu politycznego w Polsce - to niedorzeczność. Realnie oznacza ono postulat bądź do wzrostu kompetencji Parlamentu, bądź rozszerzenia podstawy wyborczej do ciała ustawodawczego. Na pierwszej drodze nic już się nie da zrobić, chyba na gorsze. Druga propozycja oznaczać by musiała wzrost znaczenia frakcji idiotów w polskim sejmie, która to frakcja i bez tego wydaje się aż nazbyt wpływowa... Konfuzja między wolnością a władzą, przekonanie o wszechmocy prawa i nieomyślności ustawodawcy, które skłaniają się na proces demokratyzacji stanowienia prawa - zawsze kończą się legalną grabieżą i zniewoleniem jednostki.

Wytęczenie domeny wolności, przeprowadzenie ścisłej dystynkcji pomiędzy wolnością i władzą, wyłączenie pewnych materii (własność, życie, wolność jednostek) spod wpływu k a z d e j polityki, również polityki parlamentarnej (poprzez takie rozwiązania prawne i instytucjonalne, które gwarantowałyby ich nienaruszalność) - stanowią najlepsze lekarstwa na ekstensywność władzy. Tylko trwałe i silny punkt oparcia, niezawisły od falowań koniunktury i namietności politycznych, może wstrzymać obracające się koło "Nowego Despotyzmu". Owym archimedesowym punktem oparcia dla systemu parlamentarnego jest instytucja głowy państwa, wyposażona w realny wpływ na proces ustawodawczy i jedynie prawem ograniczone, kompetencje wykonawcze itd. Wymogi powyższe najdoskonalej wypełnia M o n a r c h a (Stańczyk-7, Koliber). Ścisłe rzecz biorąc: parlamentaryzm bez Króla (głowy państwa) pozbawiony jest mechanizmu równowagi, jest, by użyć terminu Cata-Mackiewicza, parlamentaryzmem chryłym.

Dzieje się tak w zasadzie niezależnie od tego czy parlament składa się z jednej, czy też z dwóch izb. Ale historia poucza, że igraszki z I-izbowym parlamentem nieodmiennie kończą się rewolucją: klasa rządząca Francji 1789 r., a jeszcze wymowniej elita Niemiec weimarskich (1919-1933), które stały na gruncie jednoizbowego parlamentu, spotkały się ze skondensowaną niewdzięcznością ludu i to właśnie za sprawą poselskiej aktywności... Znane są również dokonania państw, w których obie izby oparte były na zasadzie wyborczej: senatorowie bywali tu jedynie bardzo upartymi posłami, a Senat grał najczęściej rolę "szacownego przytułku dla emerytów partyjnych", był "nieistniejącym senatem". Senat w takich razach zdobywał się nawet na "głos wolny wolność ubezpieczający". Tylko, że p. posłowie zbytby tym się nie przejmowali. W Polsce Jagiellonów upadły dwa, jednogłośnie przyjęte w Senacie, wielkiej doniosłości projekty: elekcji następcy za życia Króla i zniesienia nierówności kary za zabójstwo... Przez wiele wieków szacowna, brytyjska Izba Lordów budowała tamę dla ochrony wolności, a starczyło czterdzieli lat panowania brytyjskiej demokracji, by tamy te runęły niczym domki z kart: w 1911 r. tzw. Parliament Act złamał bezwzględne Veto ustawodawcze Senatu i przyznał posłom do Izby Gmin diety poselskie. Premier Asquith, konserwatywny pomysłodawca aktu, wiedział dobrze, że najlepszą instrukcją poselską stanowi z a l e ż n o ś ć f i n a n s o w a p o s ł a. Nic dziwnego, że zaraz potem rozpoczęło się regularne przekupywanie posłów: emerytury państwowe, płace minimalne, związki zawodowe, ubezpieczenie dla bezrobotnych, bezpłatne nauczanie "wywalczone" przez Izbę Gmin, przy bezsilnym oporze ich lordowskich mości, uczyniły z Izby Wyższej zabytek narodowy. I jak to bywa z zabytkami...

Widać z tego, że nawet najmądrzejsze zorganizowanie Izby Wyższej nie zagwarantuje panowania wolności. Do tego potrzebny jest cały szereg rozwiązań w obrębie dziedziny ustawodawczej państwa. Po pierwsze, są trzy (nie dwa, albo jeden) podmioty procesu ustawodawczego: Król, Izba Wyższa, Izba Niższa; Po drugie, ustawy i inne akty prawne nie dotyczą własności, wolności i życia obywateli: ani Król, ani Konstytucja, ani jakkolwiek inny organ nie mogą gwałcić praw naturalnych; Po trzecie, Król posiada prawo sankcji, obowiązuje zasada liberum Veto dla aktów prawnych większej doniosłości i odpowiednio niższe wymogi kwalifikowane w obu izbach w sprawach mniejszej wagi; Po czwarte, Izba Wyższa wyrokuję w sprawach o impeachment, 1 głos przeciw karze śmierci senatora właskawia skazańca itd.; Po piąte, Senat

Pismo

KONSERWATYWNYCH LIBERAŁÓW

WROCŁAW



W chwili obecnej

W dziewiątym numerze "Kolibra" pisał Rex: "Obecnie ktoś w Warszawie uznał za korzystniejsze rozwiązanie włączenie opozycjonistów do ekipy rządzącej niż wprowadzenie reform". Decyzje podjęte na X-tym plenum KC PZPR potwierdzają słuszność opinii Rex-a. Na "konserwatywno-liberalną rewolucję" w Polsce będzie trzeba jeszcze poczekać. Niewątpliwie otwarcie wolnego pola dla działalności stowarzyszeń, klubów i innych organizacji świadczy o dojrzałości polskiej elity politycznej. Odideologizowuje ona swoją politykę, zbliża ją do rzeczywistości. Rozbiciu ulegają dwa potężne bloki - blok poparcia dla rządu i blok walki z rządem a tworzy się wyrazistsza konfiguracja, jak powiedziałby Karol Schmitt, "wrogów" i "przyjaciół". Równocześnie jednak zamiast stopniowo demontować OPZZ-ty rozbudowuje się "syndykalistyczną infrastrukturę" poprzez powołanie NSZZ-tów. Zamiast jasnej, konsekwentnej i odpowiedzialnej polityki, której celem winno być odbudowanie własności prywatnej i uruchomienie opartego na niej wolnego rynku otrzymamy sojusz biurokracji z OPZZ-tami i kierowanymi przez lewicową opozycję NSZZ-tami. Sojusz ten utrwali istniejący system ekonomiczny. Jedyną zmianą będzie zmiana ilościowa czyli wzrost liczby fachowców od dzielenia tego, co wytwarzają inni. Powstanie więcej grup nacisku, które posługując się demokratycznymi hasłami będą prowadzić walkę o zgodny ze "sprawiedliwością społeczną" podział budżetu. Wielka reforma polityczna polegająca na ograniczeniu kompetencji rządu i deatyzacji gospodarki i całego życia społecznego zostanie zaniechana wskutek roszczenia, rewindykacji i socjalnej demagogii. Zapewne w halach fabrycznych zmienia się hasła: "Zwiększoną wydajnością pracy popieramy budowę społeczeństwa obywatelskiego", "Pracując dla upodmiotowionego społeczeństwa, pracujesz dla siebie", "Realizacja uchwał ostatniego posiedzenia KK NSZZ 'Solidarność' pewną drogą do dobrobytu", "Czynem produkcyjnym powitamy II Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ 'Solidarność'", "Solidarność z narodem, naród z Solidarnością", "Dalsze pogłębianie demokracji to podstawowe zadanie wszystkich ogniw NSZZ 'Solidarność'". Jednak zmieni się nie tylko fasada. Elita rządząca, która sama nie potrafi uwalniać się od zgubnego dla niej i dla kraju mitu

"wielkożyłomysłowej klasy robotniczej", dopuszcza do tego, żeby ów mit posłużył innej organizacji /"nowej" awangardzie klasy robotniczej"/ w walce o władzę. Przelanie na tę organizację "prawa" do "reprezentowania klasy robotniczej" rozpocznie spór o suwerenność, spór, który nie może zbyt długo pozostać nierozstrzygnięty. Ponieważ jak stwierdza Karol Schmitt, suwerenem jest ten, kto wprowadza stan wyjątkowy, przeto jest wielce prawdopodobne, że czeka nas powtórka grudnia 1981. Obawę budzi również kierunek zmian zachodzących w wojsku. Kontynuowana jest, jak się wydaje, licytacja z ruchem pacyfistycznym w samoograniczeniu. Jednakże w tym miejscu Europy potrzeba silnej, zawodowej armii, a nie frazesów o pokoju i rozbrojeniu.

Przyszłość nie jest czymś z góry określonym, nadal pełna jest szans i możliwości. Dlatego powtarzamy raz jeszcze: nie demokracja, nie pluralizm związkowy, nie upodmiotowienie społeczeństwa, nie dialog, nie porozumienie, nie obywatelskie społeczeństwo, nie samorządy, nie kontrola społeczna, ale wolność zakorzeniona we własności prywatnej, wolność pracy, całkowita swoboda zawierania umów, swoboda poruszania się ludzi i kapitałów, prywatyzacja sektora państwowego, likwidacja opieki socjalnej. Jeśli obecne władze nie znajdą dość siły, także moralnej i duchowej aby cele te zrealizować, to nasz kraj będzie coraz głębiej pogrążać się w socjaletatystycznym grzęzawisku.

I jeszcze jedno. Polityczny i gospodarczy chaos w Polsce, groźba neosocjalistycznej rewolucji wywołują bez wątpienia poważny niepokój w Moskwie, która w związku z przesunięciem zainteresowań na Daleki Wschód, lęka się destabilizacji "na tyłach". Fakt, że najbliższym sąsiadem Polski jest Ukraina w sposób oczywisty zwiększa zagrożenie. Być może Związek Sowiecki ma przed sobą swój Sierpień. Jeśli nie jest w naszej mocy temu zapobiec, to przynajmniej nie przykładajmy do tego ręki.

Redakcja "Kolibra"

Maurycy Rojski

Stąd do niepodległości

Skończył się niedawno rok 1988. W jego ostatnim kwartale wiele się mówiło o niepodległości. Nic więc dziwnego, że również p. Edward N. Luttwak pracownik Centrum Badań Strategicznych i Międzynarodowych przy Uniwersytecie w Georgetown i doradca Departamentu Obrony USA nie pominął tego tematu. Uczynił to w wywiadzie udzielonym czasopiśmie "Kurs" /nr 36/. P. Luttwak zapewnia czytelników "Kursu", że "gdyby doszło dziś do rewolty w Polsce to Związek Sowiecki nie interweniowałby pod warunkiem, że Polacy uszanowaliby strategiczne, wojskowe interesy Sowieców". Według p. Luttwaka jest szansa na sukces rewolty gdyby np. strajkujący kolejarze przepuszczali pociągi wiozące zaopatrzenie dla baz w NRD, czy w Legnicy.

Rewelacyjny scenariusz wydarzeń Trzeba przyznać, że tęgie głowy w Centrum Badań Strategicznych i Międzynarodowych nie próżnują. A swoją drogą to paradne jak p. Luttwak, podobno konserwatysta, smakuje słowo "rewolta": "gdyby doszło do rewolty w Polsce", "przypuszcmy, że mamy taką rewoltę w Polsce", "jest szansa na sukces rewolty". No i czyż nie miał racji cytowany przeze mnie w Kolibrze nr 8 książkę Metternich, gdy pisał, że Stany Zjednoczone sprzyjają rewolucjom gdziekolwiek by się one nie pojawiły, wyciągają pomocną dłoń do tych, które ponoć odniosły sukces, uczyszają siły apostołom buntu i dodają odwagi każdemu konspiratorowi. Niestety od lat dwudziestych zeszłego stulecia idee Rewolucji Francuskiej trwale zaadoptowały się w myślach i czynach amerykańskiej elity politycznej. Nic więc dziwnego, że p. Luttwakowi marzą się rewolty, szczególnie, że Georgetown jest poza

ich zasięgiem. P.Luttwak dokonał również ciekawego odkrycia. Zauważył bowiem, że "Kościół jest jakby ambiwalentny. Część hierarchii popiera działania wolnościowe, a część jest zadowolona ze status quo i jak gdyby zabiega o jego utrzymanie". Ale może to nie Kościół jest "ambiwalentny" ale np. Departament Obrony. A może sam P.Luttwak? Nie, to byłaby insynuacja. P.Luttwak nie jest "ambiwalentny". Stwierdza dobitnie i niedwuznacznie: "Ale powtarzam, dziś jest pewna, moim zdaniem, poważna, szansa akcji niepodległościowej". Polacy na koń, na barykady, szable w dłoń, wyklęty powstań, śmiało podnieśmy, z dymem pożarów, poszli chłopcy w bój bez broni. Trzeba tylko pilnować, żeby jakiś pijany dróżnik nie zaczął zatrzymywać pociągów do Legnicy bo akcja niepodległościowa spali na panewce /o ile będą panewki/, a pracownikom Centrum Badań Strategicznych i Międzynarodowych obetną premię za błędne prognozy i nietrafne scenariusze.

A tak na marginesie, niech nas Jankesi nie pouczają. Ostatecznie 125 lat temu pewna liczba stanów podjęła akcję niepodległościową. I co? Akcja została krwawo stłumiona. Przeto proszę uprzejmie: więcej skromności a mniej rewolucyjno-niepodległościowej retoryki.

Ale do rzeczy. Odkrywszy, że problematyka niepodległościowa dotarła aż do odległego o tysiące kilometrów Georgetown, uznałem, że i ja nie mogę uchylić się od podjęcia tego tematu. Trzebaż mi tylko baczyć, aby nie wkroczyć na "bity gościniec ogólnych morałów". Opary pseudopatriotycznego kadzidłarstwa źle wpływają na jakość myślenia. Czas przestać potrząsać "czerwoną chustą niepodległości" bowiem czynność ta przystoi jedynie naszym dorocom godności narodowej, mglistym rycerzom, politycznym trubadurom i różnego rodzaju socjopatriotom, którzy "wodzianką starych fraszów chcą karmić schorzały naród aby przyszedł do zdrowia i siły". Trzeba wybierać, jak to pisał Józef Szujski "między obrokiem sentymentów a obrokiem rzeczywistości".

Zadajmy sobie proste pytanie: czym jest niepodległość? Odpowiedział na nie z właściwą sobie precyzją p.doc.Bronisław Łagowski w dyskusji redakcyjnej na łamach miesięcznika "Zdanie" /nr 11/. Otóż według niego niepodległość to sytuacja braku podległości. To prawda. Ale niepodległość nie jest tylko jak chce p.doc.Łagowski stanem empirycznie negatywnym czyli właśnie brakiem podległości w stosunku do obcej elity politycznej. Niepodległość jest w istocie nową podległością. Zmieniają się jedynie ci, którym się podlega. Jeśli mówimy, że pod koniec XVIII-tego wieku Polska utraciła niepodległość to w rzeczywistości stwierdzamy, że ówczesna polska elita polityczna była zbyt słaba, aby obronić swą władzę. Stosunek się był tak niekorzystny, że niedalekie od prawdy jest twierdzenie, że powstała w Polsce polityczna próżnia. Ale mapa polityczna nie znosi próżni. Na arenę polityczną wkroczyły elity państw ościennych dokonując rozszerzenia sfery swej władzy /"Cesarzowa płacze, ale bierze" - miał powiedzieć Fryderyk II o cesarzowej Marii Teresie/.

Powóływanie się na jakieś prawo do niepodległości jest nieporozumieniem. Prawo do niepodległości może oznaczać tylko tyle, że ma się siłę aby ją obronić, czyli rodzima elita polityczna musi mieć dość siły aby obronić swą władzę przed konkurentami z innych krajów. Powóływanie się na "niezbywalne prawo do niepodległości" należy zinterpretować jako powóływanie się na "niezbywalne prawo do rządzenia". Elita /grupa/ polityczna nawołując do walki o niepodległość w rzeczywistości nawołuje do poparcia jej walki o władzę.

Typową cechą walk niepodległościowych jest zwalczanie przez "niepodległościowców" nie tylko obcej elity ale również elity rodzimej, która choć odsunięta /zwykle niecałkowicie/ od bezpośredniego sprawowania władzy politycznej nadal zajmuje wysoką pozycję w życiu narodu i jest, rzecz jasna, najbardziej powołana do objęcia władzy w momencie, gdy umożliwi to słabość obcej elity.

Opis powstania w Judei dokonany przez Ernesta Renana jest klasycznym opisem "akcji niepodległościowej". Powstanie było skierowane przeciwko Rzymowi, który sprawował polityczne zwierzchnictwo nad tą prowincją. Ale "niepodległościowcy" czyli skrajnie rewolucyjne stronnictwo "zagorzałców i zapaleńców", zelotów, sikerów, fanatycznych żebraków oczekujących Apokalipsy, zabijaków, włóczęgów i awanturników, za główny cel swego ataku obrało tradycyjne elity żydowskie - saduceuszów/wielkie rody, stan kapiański/ i faryzeuszów/mieszczanstwo/. Kiedy "zagorzałcy" na krótko zdobyli władzę ich rządy w żadnym razie nie były lepsze od rządów Rzymian. Wręcz przeciwnie. Jak pisze Renan demokratyczny i rewolucyjny pierwiastek judaizmu objawił się wówczas w sposób przerażający.

Wzemy "niepodległościowca" Gandhiego - bardziej nienawidził on tradycyjnej elity politycznej /radzów/ i religijnej /braminów/ niż Anglików. I to właśnie je zwalczał gwałtownie - nic dziwnego, że po zamachu na niego, w świętym mieście braminów Benares wybuchła nieopisana radość.

Nie musimy jednak szukać przykładów w odległych czasach i krajach. Już w czasie powstania kościuszkowskiego lewica jacobiniśka nawoływała do wyrznięcia bogaczy i arystokratów. Podczas powstania listopadowego szalała, jak trafnie pisał Paweł Popiel "sfanatyzowana falanga klubów". Ruch styczniowy 1863 roku - owa Targowica z dołu według określenia Popiela - za główny cel obrał obalenie margrabiego Wielkopolskiego. Ciekawe, że podobnie jak w czasie powstania w Judei niższe duchowieństwo szło ręką w rękę z "zagorzałcami". W 1918 istniała w Polsce w miarę ukształtowana elita polityczna, która została nie jako dokooptowana do elit państw zaborskich - należeli do niej narodowcy i konserwatyści. I to oni właśnie stali na drodze do władzy, którą podążali socjalpiłsudczycy. Hipolit Korwin-Milewski pisze w swych wspomnieniach o organizacji, która później wybuchła w formie legionów /trzy chude brygadki/, jak się wyraził gen. Dowbór-Muśnicki, wybitny przedstawiciel polskiej elity wojskowej odsunięty przez Piłsudskiego/ i 11 listopada "wzięła naród polski za czub i opanowała jego rydwan państwowy jak pociąg berdański".

"Walka o niepodległość" będąc zwykle walką z warstwami wyższymi i posługując się rewolucyjnymi metodami nie może się obejść bez rewolucyjnych frazesów i socjalnej demagogii. Do "walki o niepodległość trzeba zmobilizować jak największą ilość zwolenników. W związku z tym do niepodległości, która sama w sobie zawiera obietnicę wielu posad państwowych, trzeba dorzucić wiele innych obietnic. Bowiem masy jednego dnia oklaskują "patriotyczne przemówienia" a następnego żądają podwyżek płac i zwiększenia opieki socjalnej. Tytułem przykładu przytoczymy fragment tekstu zatytułowanego "O jaką Polskę walczymy" i zamieszczonego w Biuletynie Informacyjnym z 3 IX 1943 roku: "o Polskę demokratyczną, w której zapewniona jest równość startu życiowego, równość awansu społecznego bez względu na pochodzenie i majątek, o Polskę sprawiedliwości społecznej i dobrobytu najszerszych mas. O Polskę, która wyzwoli z niedostatku i nędzy milionowe rzesze niedożywionych i głodujących, o Polskę, która podniesie stopę życiową najbardziej ubogich i obniży niesprawiedliwie wysokie zyski warstw dotąd uprzywilejowanych. O Polskę, która szanując w r o z s a d n y c h /podkreśli. moje - M.R./ granicach własność prywatną /zielone światło dla sektora prywatnego - M.R./ wyzwoli kraj z bezsensu /!/ kapitalizmu i uspołeczni wielkie warsztaty pracy, o Polskę wielką kulturalnie, to znaczy upowszechnienie i uspołecznienie kultury w Polsce. W oparciu o znośne warunki materialne dążyć będziemy do zapewnienia wszystkim polskim rodzinom odpowiednich mieszkań /zapewne M-20 - M.R./ zamiast dzisiejszych norm mieszkaniowych większości ludności. A w tych ludzkich mieszkaniach musimy zapewnić wszystkim rodzinom nie tylko samo życie lecz także życie kulturalne, udośćpniając najszer-

szym warstwom cały dorobek kultury duchowej i materialnej" /cyt za W. Bartoszewski "1859 dni Warszawy"/ Czyż nie piękny program? Ba, zrealizowany w PRL, choć już nie przez akowską lewicę. Mało kto wie, czym było powstanie warszawskie dla chrześcijańskich demokratów skupionych w Stronnictwie Pracy. Organ Stronnictwa "Kurier Stołeczny" w numerze 10-tym 1944 roku opublikował tekst pod znamienym tytułem "Owoce dramatu". Zanim owoc dojrzeje trzeba co nieco wykaraczować: "Na zgłiszczach Warszawy rodzi się nowe życie. Ginie stary styl, stare błędy, stare nawyki. Ci, co zostaną będą inni. Płoną w tej chwili tytuły gospodarcze i materialne. Ginią przywileje. Ginię cała skala rozpiętości i niesprawiedliwości społecznych. /.../ Będziemy inni, bo dziś wszyscy jednako cierpią i walczą. Wszyscy składają ofiary, wszyscy głodują. Na ulicy, na barykadzie i w schronie nastąpiło wielkie zbliżanie i wyrównanie różnic. Dozorca, robotnik czy prezes Lewiatana niczym się dzisiaj nie różni. Wchodzimy w okres prawdziwej demokracji" /cyt. za W. Bartoszewskim/. Ale nie tylko prawdziwa demokracja /czyt. totalitarna urawniłowka/ będzie owocem dramatu. Na miejscu zburzonego getta i spalonej arterii przelotowej od mostu Kiebersdzia na Wolę ma powstać w przyszłości coś, co było zapewne szczególnie bliskie członkom Stronnictwa Pracy /biurowej/: "najpiękniejsza reprezentacyjna dzielnica u r z ę d o w a Warszawy" /podkreśl. moje - M.R./.

Gdy przestudiujemy program SP to okaże się, że niesłuszne były twierdzenia komunistycznych propagandystów w latach 50-tych, że SP i jego najbardziej radykalny trzon jakim była Unia podsywała się pod ideologię postępową i komunistyczną. Ono się wcale nie musiało podsywać. Po prostu miało identyczny program co PZPR.

Rzadkością są wśród "niepodległościowców" programy liberalne. I jest to całkiem zrozumiałe. Kto bowiem zechce iść na barykady w imię państwa-minimum? Czy znajdzie się wielu takich, którzy zaryzykują walkę pod sztandarem z napisem "Mniej posad rządowych"? Nie trzeba wielkiej wyobraźni, aby przewidzieć, że Liberalno-Demokratyczna Partia "Niepodległość" przegra z PaPuaSami /jak ich określał Nowaczyński/. Oni wiedzą czego chcą - będą walczyć o socjalizm, tak jak o niepodległość. W tym miejscu chciałbym wspomnieć raz jeszcze o fetowaniu ostatnio Józefie Piłsudskim. Według p. Jacka Bartyzela był "on człowiekiem czynu oświadniętym jedną ideą nadrzędną - niepodległością" /Polityka Polska nr 10 s.80/. Powtórzę więc raz jeszcze: niepodległość rozpatrywana w kategoriach realnej polityki oznacza odsunięcie od władzy rządzącej elity i zajęcie jej miejsca. Czyli owa nadrzędna idea jakiej wyznawcą był Józef Piłsudski sprowadzała się do tego aby, jak trafnie zauważył Hipolit Korwin-Milewski, wziąć naród polski za czub i opanować jego rydwan państwowy tak jak pociąg bezdański. Ale równocześnie niepodległość /rozumiana jako władza polityczna/ wypełniana jest przeciwieństwem jakąś polityką. Polityka, która uprawiana była przez całe dwudziestolecie a szczególnie po maju 1926 roku była polityką socjalistyczną a ściśle rzecz biorąc socjaletatystyczną. A fakt, że Piłsudski przestał być organizacyjnie związany z PPS-em jest zupełnie bez znaczenia. Niekiedy, jako dowód, że Piłsudski był zwolennikiem socjalizmu przytacza się jego pośrednie poparcie dla bolszewików, którym umożliwił utrzymanie władzy. Ale po co sięgać daleko, wystarczy przypomnieć jego poparcie dla Petlury, którego Korwin-Milewski określa mianem "kata polskiego ziemiaństwa", człowieka znanego z kompletnej pogardy dla własności prywatnej.

Jeśli Piłsudskiemu chodziło wyłącznie o niepodległość /władzę polityczną/ to skąd mongolskie hece prawodawcze i administracyjne, o których wspomina Korwin-Milewski. Dlaczego prof. Koneczny określał

* zob. J. Braun, K. Popiel, K. Sieniewicz "Człowiek ze spiżu", Wrocław 1987, s.213

okres jego rządów jako zwycięstwo turkańszczyzny? Co skłaniało prof. Zdziechowskiego do określania panującego w Polsce ustroju pół-bolszewizmem? Według p. Bartyzela Piłsudski składał liczne deklaracje /i dowody/ swej ponadpartyjnej i solidarystycznej w sensie narodowym postawy. A prof. Zdziechowski pisał w "Widmie przyszłości" /Wilno 1939/: "bolszewizacja objęła górne sfery i małą mam pociechę, że w Rosji sowieckiej jest jeszcze gorzej". Jak to się działo, że Piłsudski, ponadpartyjny solidarysta, miał za adiutanta majora Lepeckiego autora filozoficznych książek? Dlaczego prof. Zdziechowski musiał się uskarżać, że "krytycznie myśleć i mówić o bolszewizmie u nas nie wolno"?

Niepodległość, czyli swe rządy, wypełnił Józef Piłsudski pół-bolszewizmem rozwinętym po roku 44-tym w cały bolszewizm. Ktoś trafnie określił przewrót z 1926 roku mianem "kierenśzczyzny". Osiemnaście lat później przyszedł komunizm. Józef Piłsudski należał do jego współtwórców. Po tej dygresji na temat Józefa Piłsudskiego powróćmy do głównego wątku. "Niepodległościowcy" mówią "nie ty" zamiast "nie tak". A przecież zasadniczym pytaniem nie jest pytanie "kto rządzi" ale "jak rządzi". Pisał Cypero /"O państwie"/: "Dla ludu różnica sprowadza się tylko do tego czy trzeba służyć panu łaskawemu, czy też srogiemu, bo nie może znaleźć się w położeniu takim, żeby nie służył wcale". Czyż nie może się zdarzyć, że niepodległość oznaczać będzie podleganie panu srogiemu? Pamiętajmy, że rodzimi władcy są często gorszy niż władcy obcy, albowiem, jak zauważył Hipolit Korwin-Milewski "swoi są często lepszymi niszczycielami niż obcy dlatego właśnie, że lepiej znają słabe strony swoich ofiar". Nie "rodzimość" tedy winna być głównym kryterium oceny ale wyznawane zasady cywilizacyjne, stosunek do miejscowej religii, obyczajów, własności prywatnej i wolności jednostki. Żaden "niepodległościowiec" nie jest w stanie zrozumieć stwierdzenia Ernesta Renana, który pisząc o starożytnym Rzymie wyraża opinię, że w Krajach podbitych "cesarstwo otwiera erę pomyślności i dobrobytu a nawet, co nie powinno być poczytywane za paradoks - i wolności, jakiej kraje te nigdy jeszcze nie znały". "Niepodległościowcy" są w istocie zakorzenieni w tradycji orientalnej. Jak dowodzi Kąjetan Mosca w swym wielkim dziele "Klasa rządząca" według tej tradycji wolność jest zagwarantowana o ile rządzią współplemieńcy. Taki reżim nie jest odczuwany jako niewola, nawet jeśli jest absolutny i arbitralny.

Wysuwanie dziś haseł niepodległościowych oznacza wydanie bitwy obecnej elicie władzy, która przeszła wszak proces głębokich przeobrażeń. To, że przeobrażenia te zachodziły tak powoli wynikało między innymi z faktu, że podbity w 1944 naród polski w znacznym stopniu odszedł od zasad cywilizacji łacińskiej, że szerokie masy już wcześniej były z dobrymi rezultatami poddane socjalistycznej propagandzie, że w dużym stopniu zapomniano, czym jest wolność i utracono szacunek dla własności prywatnej. Trzeba pamiętać, że proces cywilizowania najeźdźców zachodził tym szybciej, im bardziej wyraźna jest cywilizacyjna i kulturowa wyższość podbitych. Niestety, choćby z cytowanych wcześniej deklaracji lewicy akowskiej i Stronnictwa Pracy widać jasno jak dalece zaszedł proces skomunizowania polskiej elity politycznych, jak bardzo pchały one Polskę w kierunku socjalizmu wspomagając komunistów. Nie bardzo było czym komunistów cywilizować, skoro zarówno elity jak i szerokie odłamy społeczeństwa wyznawały takie same co oni lub podobne idee. Niemniej, cywilizacyjne i duchowe zasoby umiejscowione w Kościele katolickim, w niezniszczonej do końca instytucji rodziny i własności prywatnej, w przywiązaniu sporej, mimo wszystko, liczby ludzi do tradycyjnej moralności sprawiły, że proces cywilizowania i "unarodowienia" barbarzyńców postępował naprzód i miejmy nadzieję będzie trwał nadal. Nasi "barbarzyńcy" dawno już wrosli w polski kraj-

obraz i jeśli ciągle wiele z ich działań jest groźnych dla wolności to nie dlatego, że są "namiestnikami Kremla" ale dlatego, że socjalistyczne trucizny nadal krążą po umysłach wielu z nich. Trzeba nam ich odsocjalizować i ucywilizować do końca a nie pozbawiać foteli w imię niepodległości.

Niepodległość należy dziś rozumieć jako zwiększenie niezależności obecnej elity politycznej od Rosji. Rosjanie byli dla tej elity jak nadopiekuńcza matka przez co odczyli ją samodzielności, zdjęli z niej ciężar odpowiedzialności tak, że przypomina niekiedy wyrosnięte dziecko, które bez matki kroku nie potrafi zrobić. Nadopiekuńczość Rosjan sprawiła również, że nasza elita bardzo szybko nauczyła się zrzucać na nich winę za każde własne niepowodzenie. Czas wreszcie stanąć pewnie na własnych nogach, pozbyć się młodzieńczego trądziku. Zbliża się trudny ale jakże wspaniały wiek dojrzałości. Dziedzina, w której przydałoby się więcej niezależności /oczywiście bez przesady/ jest polityka zagraniczna. Ma to wielkie znaczenie przy realizacji liberalnej koncepcji państwa-minimum. Zmniejszeniu prerogatyw w polityce wewnętrznej będące skutkiem odchodzenia od socjaletaryzmu należałoby zrekompensować, moim zdaniem, większą swobodą manewru w polityce zagranicznej. Ostatecznie czymś nasi władcy zajmować. Więcej posad w dyplomacji, więcej samodzielnych inicjatyw, więcej podróży, wizyt, spotkań, "szczytów" itd. Da im to zajęcie, dostarczy wielu wrażeń, przyda prestiżu. Można rozumieć rozgoryczenie naszych "niepodległościowców", którzy również chcieliby pokosztować tych wszystkich przyjemności. Niech jednak w imię dobra ojczyzny powściągną swoje apetyty. O co, w którejś z kolei rocznicę nieszczęsnego ruchu styczniowego prosi ich usilnie

Maurycy Rojski

Wrocław 20 I 1989

CHICAGO BOYS

F.A.HARPER urodził się w 1905 roku w Middleville /Michigan/. W 1932 roku ukończył Cornell University. Związany z Fundacją Edukacji Ekonomicznej, instytucją niezwykle zastępową dla obrony wolnego rynku w Stanach Zjednoczonych. Napisał m.in.: Kryzys wolnego rynku /1945/, Wolność - droga do odrodzenia /1949/, Inflacja /1951/, Moralność a "państwo dobrobytu" /1951/, Sekwoja: symbol wolnego człowieka /1952/. Poniżej drukowany tekst to główne fragmenty artykułu zamieszczonego w książce "O wolności i wolnej przedsiębiorczości. Eseje ku czci Ludwika von Misesa" wydanej przez Marię Sennholz w 1956 r. z okazji 50-tej rocznicy uzyskania doktoratu przez prof.Misesa. Książka zawiera artykuły które napisali: L.Baudin, F.A.Hayek, H.Hazlitt, W.H.Hutt, B.de Jouvenel, F.Machlup, W.Roepke, M.N.Rothbard, J.Rueff, H.Sennholz i inni.

F.A.Harper

NAJWIĘKSZA DOBROCZYNNOŚĆ EKONOMICZNA

Najszlachetniejszy rodzaj dobroczynności polega na tym, aby uchronić człowieka przed korzystaniem z dobroczynności; najlepsza jatkarna to zachęcenie człowieka do obywatela się bez niej.

/Mojżesz Majmonides/

*Możecie być pewni, że czynicie więcej
dobra p r a c o j a c tym, którzy pracują
niż r o z d a j a c pieniądze w ramach
działalności dobroczynnej.*

/dr Samuel Johnson/

Prawdziwa dobroczynność posiada trzy cechy:

1. Dobroczynność oznacza przeniesienie tytułu własności czegoś, co ma ekonomiczną wartość z jednej osoby na drugą. Ten, kto coś otrzymuje musi otrzymać to na własność. W przeciwnym razie nie możemy mówić o dobroczynności. Dający może dawać tylko to, co jest w pełni jego własnością. Inaczej mielibyśmy sytuację podobną do obdarowywania innych skradzionymi rzeczami - nie jest to na pewno dobroczynność. Dlatego warunkiem dobroczynności jest prywatna, nigdy publiczna, własność zarówno w przypadku dającego jak i przyjmującego.
2. Transfer musi być dobrowolnie zaakceptowany przez obie strony. Nie ma dobroczynności wówczas gdy obdarowany zmuszony jest do przyjęcia czegoś wbrew swej woli. Z kolei, jeśli transfer odbywa się wbrew woli właściciela to mamy do czynienia ze złodziejstwem a nie z dobroczynnością.
3. Prawdziwa dobroczynność wymaga anonimowości. Jest to, rzecz jasna, trudne do osiągnięcia. Ale jeśli warunki transferu są takie, że doprowadzają do powstania osobistego zobowiązania w jakiegokolwiek formie i w jakimkolwiek stopniu, to mamy wówczas do czynienia nie z aktem dobroczynności lecz z udzielaniem kredytu. Sposoby inne niż anonimowość nie potrafią zapobiec powstaniu takiego osobistego zobowiązania.

Być może należałoby dodać jeszcze czwarty warunek a mianowicie, że darczyńca powinien być na dłuższą metę korzystny dla obdarowanego. Ten aspekt jest ważny ale dotyczy on raczej celowości i mądrości w dawaniu niż dobroczynnego charakteru tego dawania.

Trzeci warunek dobroczynności - anonimowość - zgodny jest z biblijnym napomnieniem, aby ten, kto daje jałmużnę "nie trąbił przed sobą jak to czynią obłudnicy w synagogach i na ulicy, aby ich ludzie chwaili" /Mat.6:2/. Jeśli motywem jest pycha lub próżność nie należy mówić o dobroczynności. Jeśli dający oczekuje jakiegokolwiek odpłaty innej niż bezinteresowna satysfakcja, to nie zachodzi akt dobroczynności.

Trzy opisane wyżej właściwości ściśle określają wymogi jakie winien spełniać akt dobroczynny. Przypuszczać można, że tzw. działalność charytatywna w bardzo wielu wypadkach wymogów tych nie spełnia.

X X X X X

Na nieszczęście częstym celem aktów "miłosierdzia" jest stworzenie zobowiązania wobec dającego. Dzieje się to w taki sposób: prezent lub przysługa skrywają bliżej niesprecyzowane *quid pro quo*: "Pewnego dnia ty zrobisz coś dla mnie". Tak może się dziać, na przykład, gdy chodzi o przywilej dla jakiejś branży czy firmy udzielany na tym wielkim obszarze, na którym /nie/wolny rynek umożliwia wykorzystywanie takich specjalnych przywilejów. Działanie, o którym mowa zobowiązuje obdarowanego do odpłaty, której wysokość nie została z góry ustalona. *Quid pro quo* nie jest tak precyzyjnie określone jak to się dzieje w przypadku kredytu, kupna i sprzedaży. W ten sposób akt "miłosierdzia" prowadzi w rzeczywistości do powstania długu, który nigdy nie może być do końca spłacony, gdyż jego wielkość nie jest znana obu stronom ze względu na brak uprzedniej umowy. Próby uregulowania tego długu nie satysfakcjonują żadnej ze stron. Zawsze bowiem pozostaje jakaś niespłacona reszta, której spłata jest odroczona na czas nieokreślony. Dlatego właśnie pożądana jest anonimowość, gdyż pozwala ona uniknąć takich szkodliwych następstw. Kredyt powinien być nazywany kredytem, sprzedaż sprzedażą.

Opisany wyżej proces prowadzi do sytuacji, w której jedna osoba zostaje permanentnym dłużnikiem innej. Jest to w istocie łagodna forma niewolnictwa. To chyba miał na myśli Plutarch, gdy stwierdził: "Prawdziwymi niszczycielami wolności ludzi, są ci, którzy rozdają im subwencje, zasiłki i prezenty". Z innych uwag Plutarcha wynika jasno, że nie był on przeciwnikiem prawdziwego miłosierdzia i rzeczywistej dobroczynności. To, czemu się sprzeciwiał, to ich pozory, które karmią pychę dającego i czynią biorącego niewolnikiem.

Bajki Ezopa - przypuszczalnie napisane przez mądrego niewolnika będącego przenikliwym obserwatorem takich zjawisk - wielokrotnie wskazują na niebezpieczeństwa niewolnictwa ukrytego pod pozorami dobroczynności. Fałszywa dobroczynność niszczy poczucie bezpieczeństwa. Ten, kto stał się permanentnym dłużnikiem drugiej osoby przez dług, który nigdy nie może być do końca spłacony, traci zaufanie do siebie i poczucie bezpieczeństwa. Jak wyraził się św. Tomasz z Akwinu: "Nie jesteśmy bezpieczni tak długo, jak długo jesteśmy zależni od woli drugiego człowieka".

Jednostka przez dług, który nigdy nie może być spłacony może stać się niewolnikiem nie tylko drugiego człowieka ale również grupy. Narodowy socjalizm jest typowym przykładem stanu, w którym państwo staje się rozdawcą łupów zgromadzonych przy użyciu przemocy. Obdarowani powoli przestają polegać na sobie i zaczynają czuć się dłużnikami kolektywu na całe życie. Zamieniają się w niewolników.

Brak miejsca nie pozwala nam dokładniej przyjrzeć się ideologicznym antenatom tego rodzaju masowego niewolnictwa. Wypada jednak wspomnieć nazwiska Rousseau i Marxa. Rousseau, choć głosił "powrót do natury" nie miał zaufania do całkiem naturalnej zasady polegania na sobie. W "Umowie społecznej" cywilizację propagowaną już przez Platona, kult dla polegania na państwie stając się w ten sposób, jak twierdzi Janet [Źródła socjalizmu współczesnego, 1883/, niewzbronionym prekursorem komunizmu. Później Marx rozwinął jego pomysły utrzymując, że człowiek jest sumą stosunków społecznych i że jest odpowiedzialny przed społeczeństwem za swą egzystencję. Takie stanowisko czyni w rzeczywistości człowieka niewolnikiem państwa lub innego społecznego kolektywu. Dlatego właśnie ludzie tacy jak Rousseau i Marx ze swymi programami zależności od społeczeństwa i uspołecznionego "miłosierdzia" pomogli wtrącić masy w zależność, niepewność i niewolnictwo.

Uczynienie człowieka niewolnikiem czy to drugiego człowieka czy zbiorowości nie byłoby możliwe gdyby dobroczynność praktykowana była w swej czystej formie stanowiąc uzupełnienie dla wolnej wymiany i kredytu, jaki jedni ludzie udzielają drugim.

....
Zarówno fakty jak i logika dowodzą, że oszczędności inwestowane w środki produkcji należące do prywatnych właścicieli zaliczyć można do aktów dobroczynności. Co więcej, wierzę, że - jako pewien typ - są one najbardziej hojną formą dobroczynności. Mówiąc o środkach produkcji mam na myśli rzeczy posiadające wartość wymienną - samochody ciężarowe, urządzenia fabryczne, koleje, magazyny itd. - które pozwalają ludziom produkować inne dobra posiadające ekonomiczną wartość.

Czy można oszczędności inwestowane w środki produkcji zakwalifikować do aktów dobroczynności? Czy spełniają one trzy warunki, które wymieniliśmy na wstępie? Pierwszym warunkiem jest to, że zachodzi transfer rzeczy będącej w prywatnym posiadaniu i mającej wartość ekonomiczną. Jest prawdą, że kiedy ktoś oszczędza i inwestuje w środki produkcji, to, chociaż zachowuje on w stosunku do nich tytuł własności, największą część produkcji osiągniętą dzięki ich użyciu trafia, jak zobaczymy, do innych ludzi. Ten właśnie skutek inwestowania oszczędności w środki produkcji sprawia, że pierwszy warunek aktu dobroczynnego jest spełniony.

Drugi warunek, jaki spełniać powinien akt dobroczynności to dobrowolność transferu. Czy ktoś coś ukradł? Czy ktoś został do czegoś zmuszony? Dopóki środki produkcji znajdują się w rękach prywatnych i używane są w ramach wolnego rynku, dopóty wszyscy uczestnicy transferu biorą w nim udział dobrowolnie. Dopiero państwowa własność środków produkcji - jak np. w Rosji - sprawia, że warunek dobrowolności nie może być spełniony.

Trzecim warunkiem jest anonimowość. Dobroczynny efekt oszczędności inwestowanych w środki produkcji polega na tym, że dzięki tym środkom uzyskiwana jest produkcja ekstra trafiając nie do tych, którzy oszczędzali i inwestowali, nie do właścicieli środków produkcji ale do innych. Cały ten transfer odbywa się anonimowo, gdyż ci, którym wyświadczone zostaje dobrodziejstwo nie znają jego źródła. Większość z nich nie wie w ogóle, że została obdarowana. Nie wiedzą między innymi dlatego, że do ich umysłów przeniknęła teoria wartości dodatkowej. Uważają oni nawet, że dzieje się całkiem na odwrót, że to oni są ofiarami kapitalistów będących właścicielami używanych przez nich narzędzi.

Każdy może sam przekonać się, iż dobrodziejstwa będące skutkiem oszczędzania i inwestowania w środki produkcji są anonimowe. Niech sporządzi listę wszystkich dóbr, które konsumuje lub których używa w ciągu jednego dnia i spróbuje określić osoby, których oszczędności i inwestycje umożliwiły powstanie każdego z tych dóbr. Większość z nas, jak sądzę, nie byłaby w stanie wymienić choćby jednej osoby, której zawdzięczamy owe dobra. Używamy ich dzięki milionom nieznanym nam osobom.

Tak więc oszczędności inwestowane w środki produkcji spełniają wszystkie trzy warunki aktu dobroczynności. Przeto są nim.

Do wysokiego poziomu życia w Stanach Zjednoczonych przyczynia się w największej mierze użycie środków produkcji. Przeciętny obywatel USA konsumuje z górą dziesięć razy tyle, co ludzie żyjący w mniej zamożnej części świata. Przyczyną ich nędzy jest brak oszczędności inwestowanych w środki produkcji. W ciągu wieków swej historii nie akumulowali oni więcej niż niezwykle prymitywne narzędzia w rodzaju sochy i motyki. /.../ Gdybyśmy nie posiadali żadnych narzędzi nasza produkcja byłaby nawet niższa niż ta, którą osiąga się dziś w biedniejszej części świata; nawet tam produkcję umożliwiają w znaczącym stopniu proste narzędzia. Z porównania ich produkcji z naszą wynika, że bez narzędzi nasza produkcja zmniejszyłaby się do jednej dwudziestej tego, co osiągamy dzisiaj. Innymi słowy prawdopodobnie 95% obecnej produkcji w USA zawdzięczamy obecności narzędzi /środków produkcji/. Narzędzia te są do naszej dyspozycji, gdyż w przeszłości mądrzy ludzie oszczędzali i inwestowali.

Pojawia się pytanie, kto najbardziej skorzystał z tego wielkiego wzrostu produkcji. Nietrudno dowiedzieć, że nie byli to ci, którzy oszczędzali i inwestowali. Byli nimi użytkownicy narzędzi i innych środków produkcji.

Szacuje się, że jedynie 15% dochodu narodowego w USA trafia do właścicieli kapitału. Te 15% obejmuje dywidendy, odsetki, renty dzierżawne itd. oraz ich odpowiedniki w biznesie prowadzonym przez właściciela. Pozostałe 85% przeznaczone jest na opłacenie pracy. Cyfra ta obejmuje zarówno płacę pracowników najemnych jak i jej odpowiednik w przypadku tych, którzy zatrudniają sami siebie.

Rodzi się natychmiast pytanie dlaczego tak mała część dochodu przypada kapitałowi, skoro to właśnie kapitał jest tak wysoko produktywny. Gdyby założyć, że ci, którzy oszczędzają i inwestują w środki produkcji mają prawo do całej tej części dochodu, która powstaje dzięki wspomaganemu przez nie pracy rąk, to wówczas sprawiedliwy podział wyglądałby następująco: 95% dla właścicieli kapitału i 5% dla użytkowników środków produkcji.

A więc podsumujmy:

	Do właścicieli środków produkcji	Do użytkowników środków produkcji	Ogółem
Jeśli cały wzrost produkcji przypadłby właścicielom	95	5	100
Faktyczny podział w USA	15	85	100
Podział zgodny z teorią wartości dodatkowej Marxa	0	100	100

Jeśli te liczby są ścisłe to wypływa z nich wniosek, że ten kto oszczędza i inwestuje otrzymuje mniej niż 1/6 dochodu, który stał się możliwy dzięki jego oszczędnościom i inwestycjom: wyprodukował 95%, otrzymał 15%. Pozostałe 5/6 przypada użytkownikom środków produkcji podnosząc ich płace 17-krotnie: produkują 5%, otrzymują 85%.

Człowiek, który przypadkiem urodził się w USA jest szczęściarzem, bo może bezpośrednio korzystać z bogactwa powstałego dzięki środkom produkcji. Rodząc się tutaj może on pracować posługując się narzędziami, które są dla niego dostępne, gdyż w przeszłości inni ludzie oszczędzali i inwestowali. Dzięki tym narzędziom jego dochody wzrosły 17-krotnie /85 versus 5/. Gdyby urodził się w kraju, gdzie w ogóle nie nastąpiła akumulacja środków produkcji, to jego praca byłaby tak samo ciężka lub nawet cięższa niż w USA a on sam otrzymywałby za nią jedynie 1/17 tego, co otrzymuje robotnik w Stanach Zjednoczonych. I właśnie to dobrodziejstwo wyświadczone użytkownikom środków produkcji nazywam aktem największej ekonomicznej dobroczynności.

Opisane powyżej zjawisko jest ważne przy ocenie sformułowanej przez Marxa teorii wartości dodatkowej. Marx twierdził, że te 15%, które trafia do właścicieli środków produkcji stanowi wartość dodatkową, gdyż robotnikowi używającemu narzędzi należy się całe 100%. Ale jeśli istnieje coś takiego jak wartość dodatkowa, to powstaje ona dzięki produktywnej sile narzędzi wspomagających pracę ręczną. To właśnie dzięki wytworzeniu tej wartości dodatkowej produkcja w Stanach Zjednoczonych podniosła się z poziomu 5 do poziomu 100. A więc wbrew temu, co stwierdził Marx, cały ten wzrost wynoszący 95/100-5/ i będący skutkiem wartości dodatkowej kreowanej przez środki produkcji winien trafić do tych, którzy swoimi oszczędnościami przyczynili się do ich powstania. A kto w rzeczywistości otrzymuje tę wartość dodatkową wynoszącą 95? Właściciel otrzymuje 15 a robotnik 85. Niezły interes dla robotnika! /.../ W wolnej gospodarce proces podziału wartości dodatkowej uzyskanej dzięki użyciu środków produkcji odbywa się na wolnym rynku. W warunkach istnienia własności prywatnej i wolnej wymiany podział ów musiałby być uznany za sprawiedliwy niezależnie od tego jaki byłby jego ostateczny rezultat. A przecież wiemy już teraz, że w warunkach wolnego rynku kapitaliści - "egoiści posiadacze" jak określa się często ludzie oszczędzających i inwestujących - są w rzeczywistości największymi dobroczyńcami.

F. A. H.

Nie ma wolności bez

A.M.

ELITARNOŚĆ

"Gdzie jest pogarda dla zasługi, tam
jest demokracja"

Arystoteles

"W wolności kryje się raczej coś arystokratycznego aniżeli demokratycznego"
Mikołaj Bierdajew

Lud nie jest zdolny do rządzenia. W przeciwnym razie "bez trudu zagarnąłby władzę, chociażby dzięki swej liczebności". Tymczasem zawsze rządzą elity. Problem władzy to w istocie zagadnienie tworzenia i funkcjonowania elit, zasad doboru klasy rządzącej i jej kompetencji. Istnieją jednostki wyraźnie górujące talentami nad ogółem i idzie o to, by z powodów innych niż merytoryczne /ideologicznych, klasowych, narodowych/ nie blokowano im możliwości awansu, by istniały przejrzyste kryteria "mobilności w górę" i by były one oparte na regule równej wolności. Zasada doboru jest równie naturalna w społeczeństwie, jak różnice płci i - jak zauważył prof. T. Zieliński, "albo instytucje będą narzędziami doboru, albo jego ofiara". W systemie elity zamkniętej potencjałami Arystotelesi grają z reguły rolę Herostratesów: elity rewolucyjne nie odbiegają zwykle poziomem od mas rewolucyjnych, rekrutują się spośród falangi ludzi gotowych na wszystko, uzupełniają samorodnymi katami barykadowymi, a otwarte są w pierwszym rzędzie na... żołądek spadającej gilotyny. Cóż, gdy gilotyna przestaje pracować, klasa rządząca blokuje możliwość awansu przed potencjalnymi konkurentami gdyż, jak słusznie zauważono, "rewolucje robione są dla władzy, nie dla ludu". Inaczej jest w systemie elity otwartej, a raczej swobodnego krążenia elit: prawo naturalnego doboru doskonalili te narody, które nie usiłują ubrać je w "szlafrok lewicowego safandulstwa". Wszak prawo doboru dotyczy w głównej mierze idei, pojęć, zasad moralnych uznanych w tysiącletnim procesie za fundamenty ładu spontanicznego: ich tworem są instytucje i obyczaje uświęcone przez Kościół w obrębie tzw. cywilizacji łacińskiej.

Mniejszość zawsze rządzi: jest to albo arystokracja, albo statokracja. *Tertium non datur.*

Pierwotne instytucje polityczne oparte były na autorytecie ludzi starych /gerontokracja/. Arystokracja we właściwym tego słowa znaczeniu powstała bądź to w rezultacie zwycięskich wojen tj. prawem miecza, bądź też jako owoc płodności władców tj. prawem łóża. W pierwszym przypadku wódz /król/ nadawał swym najwierniejszym żołnierzom /drużynie przybocznej/ rozliczne przywileje, z prawem własności ziemi na czele. Późniejsi baronowie angielscy to w głównej mierze towarzysze wojenni Wilhelma Zdobywcy. Król swą władzę zawdzięczał Bogu i podobnie jak bogom greckim potrzebnymi mu byli pośrednicy /owi pół-bogowie/ do kontaktowania się z ludem. Potomkowie Króla w linii bocznej, krewni Króla, a nierzadko również krewni królewskich tworzyli dworską arystokrację. I aby mnożyły się jej zastępy nie trzeba było mieć 700 żon i 300 konkubin, jak Salomon... Tu dochodzimy do ważnego momentu: królowie kreowali szlachtę i tym samym ich dzieci, wnuki i krewni stanowili sukcesyjną alternatywę t.j. potencjalną konkurencję dla władzy króla. Toteż król rozsyłał ich po prowincjach, gdzie dodawał ich półboskie pochodzenie do siły i znaczenia baronów; albo trzymał ich przy sobie i pozwalał im spiskować. Stworzyło to dwa odmiennie typy arystokracji: typ barona i typ dworaka - jak chce Antoni Jay. Epoka feudalna w Anglii nie jest niczym innym jak rezultatem wzmocnienia się baronów w prowincjach. Baronowie broniąc własnych interesów /własności/ uzyskiwali coraz to szerszy zakres wolności dla klasy średniej i niższych

klas Anglii. Dwa kapitalne fakty zadecydowały o liberalnej ewolucji ojczyzny Burke'a: liczba szlachty ograniczona została przez system majoratu, w rezultacie czego zdolni plebejusze zajmowali nierzadko miejsce mało-zdolnych/kolejnych/ synów szlacheckich; po drugie podstawa arystokracji angielskiej została zawężona do tzw. magnaterii politycznej. Pozwoliło to ograniczyć krąg potencjalnych arystokratów do grona ludzi wybitnych zdolnościami i wymową, dało wolność i równość praw reszcie narodu, dziedziczność ożeniło z zasługami. Inaczej we Francji: tu arystokracja zorganizowana była w oparciu o pospolicity warunek urodzenia. Przywilej bycia arystokratą wiązał się bezpośrednio z nazwiskiem rodowym i kładł ogromnym ciężarem /ulgi, monopole, przywileje/ na lud francuski. Toteż arystokracja we Francji rozrosła się niebywale, a Izby - w przeciwieństwie do Anglii - miały we Francji charakter *kastowy /Stany Generalne/, nie szlachecki*. W epoce Ludwika XIV szlachta stała się karykaturą arystokracji: trzeba było być dworakiem i możliwe nic nie robić, żeby zasłużyć na względy królewskie. Wówczas Król dostrzegał delikwenta i konstruował dlań jakiś nowy urząd /państwową dietę/ z pomyślowością, której pozazdrościli Ludwikom współczesni monarchowie afrykańscy: Hajle Selasjje, Bokassa, Idi Amin. W przeciwnym razie Król pytał: "Kto to? Człowieka tego na dworze nie widuję!" - i aspiracje do przynależności do elity ucinął. Dalekie to było od rozumienia elity w wiekach dawnych i średnich: tu arystokracja korzystała ze szczególnych przywilejów w zamian za szczególne obowiązki, które pełniła. Rycerze płacili za przywilej bycia szlachcicami cenę ciągłego ryzyka śmierci, gotowości do walki na śmierć i życie w obronie honoru, czci i króla. Zabierano ich z domu w wieku kilku lat, uczono fechtunku, języków, respektu dla dam i "byli zbyt dobrze wychowani, aby znać inne zajęcia prócz walki, polowania, sądzenia". Byli równi na mocy obyczajów - i niezależnie od tytułu, który nosili, jako gentlemani stawiali ze sobą do pojedynku i woleli zginąć raczej, niżli znieść dyshonor. Obok rycerstwa równie surową była reguła zakonna - temu zawdzięczamy właśnie tak wielu wybitnych mężów w habitach, ojców duchowych naszej cywilizacji. Nawet tresura uniwersytecka w ni czym nie przypominała salonowych dyskursów epoki encyklopedystów.

Zapominamy często o przyczynie niemal naturalnego ciężenia arystokracji do wolności, a swobody poruszania się w szczególności. Ci ludzie, bogaci, wykształceni i obcy towarzysko szukali odruchowo przestrzeni dla siebie. Znany jest kosmopolityzm arystokracji europejskiej. Mniej zato zdajemy sobie sprawę z tego, że arystokracja zawdzięczała go specyficznemu *esprit de corps*; łatwości z jaką przekraczała granice. Dzięki niej idee rządzące się w jednym kraju z łatwością docierały do pozostałych. Międzynarodówka arystokratyczna jest najlepszym zabezpieczeniem przed Międzynarodówką socjalistyczną.

Jakość rządów mierzy się stopniem bezpieczeństwa własności. Zdanie "życie, zdrowie, mienie nie jest bezpieczne gdy trwa sesja Parlamentu" może pochodzić jedynie z kraju, gdzie arystokracja ustąpiła miejsca statokracji. Tym sposobem iście szatański pomysł jednego z najbardziej oryginalnych inżynierów od polityki, Henryka de Saint-Simona, został właściwie zrealizowany. Saint-Simon twierdził, że gdyby nagle we Francji zmarło 50 najwybitniejszych naukowców i inżynierów, artystów, poetów i bankierów Francja byłaby zgubiona. Natomiast - ani brak arystokratów, ani szlachty - nie miały dla Francji najmniejszego znaczenia. Zgodnie z tym sporządził projekt tzw. Rady Newtona złożonej z 21 wybitnych naukowców, na czele której miał stanąć "z woli Boga i Ziemi" matematyk. Rada podzieliłaby świat na grupy i sekcje, i pełniła rolę Centralnego Ciała Planistycznego. Pierwszym wielkim dziełem Rady byłaby jednolita, wszechobowiązująca Wielka Encyklopedia. O ostatnim Saint-Simon milczy... W dzisiejszych czasach tego typu pomysły wcale nie wydają się oryginalne. Powód jest jeden: żyjemy w wieku upadku arystokracji, żyjemy w epoce "książąt i baronów Królestwa Chama", w epoce totalitarnej demokracji. Winę za powyższy stan ponosi arystokracja wieków poprzednich - to zadaniem arystokracji jest za-

pobieganie wyradzaniu się monarchii w tyranie, i rewolcie mas. Niestety, arystokracja została uwiedzona przez idee demokratyczne i niejako sama stanęła na czele rewolucji, która ją w rezultacie obaliła. Demokracja jest w istocie prymatem dekretu nad ustawą. Prawo jest duszą arystokracji. Dekret - bagnetem wkraczających na scenę dziejów mas. Demokracja jest mechanizmem legalnej grabieży. Prywatna własność jest sercem arystokracji. Fiskalna inkwizycja - biurkiem i gabinetem klasy urzędniczej. Demokracja gardzi zasługą i wolnością. Arystokracja z "obawy przed hańbą i z pożądania sławy czyni główną sprężynę" systemu politycznego. Nie ma dwóch żywiołów tak krańcowo odmiennych, jak demokracja i arystokracja. Tytułem przykładu: znana jest rywalizacja Optymatów z Populorami w Rzymie. Gracchowie - Tyberiusz i Gajusz, po dojściu do władzy ograniczyli wpływ Senatu. Gajusz zadekretował *lex frumentaria* tj. sprzedaż zboża przez państwo po cenie społecznego ich poboru. Otworzyło to pole politycznej korupcji i zapoczątkowało proces wyradzania się arystokracji w oligarchię. Historia dostarcza setek podobnych przykładów. Ma rację Benjamin Constant gdy pisze, że prawa polityczne w rękach większości /urzędników/ służą nieodmiennie konfiskacie własności. Socjalizm jest nieodrodnym dzieckiem demokracji. Koniec. Kropka.

Wilfryd Pareto napisał w swym klasycznym dziele, że historia jest cmentarzyskiem arystokracji, elit. To prawda. U podłoża klęsk moźnych tego świata leżało nieodmiennie wykrzywienie proporcji pomiędzy przywilejem - jaki był udziałem elit, a obowiązkiem, który miał go równoważyć. Rację ma Ernest Jünger gdy pisze, że początek końca arystokracji ma miejsce wówczas, gdy ta zaczyna zawierać małżeństwa z miłościami... Na prawidłową selekcję członków elit składają się: specjalne wychowanie i wykształcenie, mądre małżeństwo i starożytnie instytucje publiczne pozwalające ożenić ambicję, interes i umiłowanie dobra publicznego - trzy sprężyny działalności publicznej. Arystokracja bązuje na fundamentalnych zasadach cywilizacji łacińskiej: własności prywatnej, monogamicznej rodzinie, panowaniu moralności w życiu publicznym. Arystokracja upada wówczas gdy zaczyna kwestionować te zasady, kwestionować wierność małżeńską i pławić się w rozpucie, jak w starożytnym Rzymie; łośi politykę racji stanu i popierać rewolucję u wroga, jak w przedrewolucyjnej Francji i przedhitlerowskich Niemczech; wywłaszczają właścicieli i żyć na koszt ubogich, jak w epoce dekretów maksymalizacyjnych, merkantylizmu, socjalizmu z katedry i socjaletatyzmu. Wolność i arystokracja są dwiema stronami tej samej monety; nie ma wolności bez arystokracji i nie ma arystokracji bez wolności!

Andrzej M.

KTO I DLACZEGO NIE LUBI KAPITALIZMU ?

W szóstym odcinku z cyklu "Kto i dlaczego nie lubi kapitalizmu" Ludwik von Mises omawia postawy artystów Broadway'u i Hollywoodu. Tekst pochodzi z wydanej w 1956 roku książki "Mentalność antykapitalistyczna".

Bardzo wielu ludzi, którym kapitalizm zapewnił wyższe zarobki i dał więcej wolnego czasu tęskni za rozrywką. Tłumy tłoczą się do

kin i teatrów. Show byznes to wielkie pieniądze. Popularni aktorzy i twórcy osiągają sześciocyfrowe dochody. Mieszkają otoczeni służbą w domach podobnych do pałaców, kąpią się we własnych basenach. Z pewnością nie są "więźniami głodu". A jednak Hollywood i Broadway - znane na całym świecie centra przemysłu rozrywkowego są siedliskiem komunizmu. Aktorów, scenarzystów, autorów dramatów i scenariuszy, reżyserów znajdujemy pośród najbardziej zagorzałych zwolenników socjalizmu.

Różnie próbowano wyjaśnić to zjawisko. Każda z tych interpretacji zawiera ziarno prawdy. Jednakże wszystkie one nie uwzględniają głównego motywu, który każe gwiazdom sceny; estrady i ekranu wstępować w szeregi rewolucjonistów.

W kapitalizmie sukces materialny zależy od uznania osiągnięć jednostki przez suwerennego konsumenta. Nie ma w tym względzie żadnej różnicy między usługami oferowanymi przez przedsiębiorcę a tymi, które oferuje producent teatralni i filmowi, aktorzy i twórcy scenariuszy. Jednak świadomość tej zależności od konsumentów bardziej niepokoi ludzi z show byznesu niż tych, którzy produkują i sprzedają dobra innego rodzaju. Przedsiębiorcy wytwarzający dobra materialne wiedzą, że ich produkty są kupowane ze względu na to, że posiadają określone fizyczne właściwości. Dlatego całkiem uzasadnione są ich nadzieje, że będą kupować ich produkty tak długo jak długo nie pojawi się nic lepszego. lub tańszego. Jest bowiem mało prawdopodobne, że potrzeby zaspokajane przez te produkty znikną w najbliższej przyszłości. Inteligentni przedsiębiorcy potrafią, w pewnym zakresie, przewidzieć, jaki będzie popyt na oferowane przez nich produkty. Dlatego z większą ufnością mogą spoglądać w przyszłość.

Całkiem inaczej wygląda sytuacja w show byznesie. Ludzie pragną rozrywki, ponieważ się nudzą. A nic nie nudzi ich bardziej niż rozrywka, którą dobrze znają. Zasada rządząca show byznensem jest zmienność i ciągłe poszukiwanie czegoś nowego. Konsumenti rozrywki oklaskują wszystko co nowe, a więc nieoczekiwane i pełne niespodzianek. Są kapryśni i nieobliczalni. Pogardzają dziś tym, co podziwiali wczoraj. Gwiazdorzycy sceny i ekranu żyją w ciągłym lęku mającym swą przyczynę w kapryśności i chimerach publiczności. Jednego ranka budzą się bogaci i sławni, zaś następnego mogą być już zapomniani. Dobrze wiedzą, że ich los jest całkowicie zależny od zachcianek i zmiennych gustów, którymi kierują się tłumy żłaknione rozrywki. Dlatego nie opuszczają ich uczucie lęku. Podobnie jak budowniczzy ze sztuki Ibsena boją się młodszymi, jeszcze nieznanymi konkurentów, którzy pozbawiają ich łask publiczności.

Jest oczywistą sprawą, że nic nie może im przynieść ulgi w tych cierpieniach. Dlatego jak tonący chwytają się brzytwy. Komunizm, myśli wielu z nich przyniesie im wyzwolenie. Czyż nie jest to system, który wszystkich ludzi uczyni szczęśliwymi? Czyż wielu wybitnych ludzi nie twierdzi, że całe zło trapiące ludzkość spowodowane jest przez kapitalizm i że komunizm to zło usunie? Czyż oni sami ciężko nie harują? Czyż nie są towarzyszami ludzi pracy całego świata?

Jest rzeczą najzupełniej pewną, że żaden komunista z Hollywood czy Broadway'u nie czytał tekstów socjalistycznych autorów nie mówiąc o jakiejś bardziej poważnej analizie gospodarki wolnorynkowej. Jednak ci wszyscy popularni i oklaskiwani ludzie: girlsy, tancerze i śpiewacy, autorzy i producenci komedii, filmów i szlagierów oddają się iluzji, że ich cierpienia znikną gdy tylko "wywłaszczyciele" zostaną wywłaszczeni.

Jest wielu ludzi, którzy czynią kapitalizm odpowiedzialnym za prymitywizm i tandetność wielu wytworów przemysłu rozrywkowego. Nie ma potrzeby dyskutować z tą opinią. Jednak godny odnotowania jest fakt, że żadne środowisko w Ameryce nie wykazywało takiego entuzjazmu dla komunizmu jak ludzie zaangażowani w produkcję głupawych sztuk teatralnych i filmów. Kiedy przyszły historyk będzie poszukiwał tych mało znaczących faktów, które Hipolit Taine tak cenił jako materiał źródłowy, nie powinien przemilczeć roli jaką w amerykańskim ruchu radykalnym odegrały gwiazdy strip-teasu.

SPIESZ SIĘ POWOLI ALBO O PISANIU KONSTYTUCYJ

Przysłowie mówi, że potrzeba jest matką wynalazków. Nasi politycy dostrzegli niedawno szansę zrobienia czegoś dla kraju a przy okazji możliwość przypomnienia o swoim istnieniu i o roli, jaką mają do odegrania. Mówią i piszą o konieczności uchwalenia nowej konstytucji. Katalog ich konstytucyjnych życzeń daje się streścić w następujący sposób: jedni domagają się zagwarantowania w niej swojej dotychczasowej pozycji, inni chcieliby dzięki niej taką pozycję uzyskać. W obliczu tych wygórowanych aspiracji nowa konstytucja skazuje się na śmierć zanim jeszcze zdążyła się narodzić /lub raczej zanim ją spłodzono/. Jest bowiem rzeczą oczywistą, że tak sprzeczne dążenia rozsadzają każde, nawet najlepiej skonstruowane ramy konstytucyjne.

Moim zdaniem, rozwiązanie kwestii konstytucyjnej powinno polegać na czymś zupełnie innym. Nie poddaje rzecz jasna w wątpliwość konieczności dokonania korekt w naszym ustawodawstwie. Jednakże, jak wykazuje historia udanych reform, zmiany te powinny mieć na celu nie wymyślanie czegoś nowego lecz uchylenie dotychczasowych przepisów. Zamiast wznowienia apriorycznych konstrukcji należy stopniowo ale konsekwentnie znosić postanowienia będące wyzwaniem dla zdrowego rozsądku, a więc w szczególności te, które ograniczają wolności gospodarcze i uniemożliwiają swobodne zawieranie umów pomiędzy ludźmi. Dlaczego właśnie te sprawy są najważniejsze udowodnił już przed stu laty znakomity historyk angielski Sir Henryk Maine. W swym esej o konstytucji amerykańskiej zamieszczonym w książce "Popular Government" /Londyn 1886/ stwierdza on, że zagwarantowana konstytucyjnie wolność kontraktu stała się podstawą bogactwa Ameryki a zarazem zaporą broniącą amerykański indywidualizm przed niecierpliwością demokracji i przed socjalistycznymi fantazjami.

Rozumiem tych, którzy pełni nadziei oczekują ustanowienia nowej "Magna Charta" i wkroczenia w "erę wolności" bez balastu stworzonego w ciągu dziesięcioleci. Są wszakże powody, aby się nie spieszyć. A dowodzą tego dzieje naszych konstytucyj.

Popularyzowany przez szkołę podział konstytucyj bierze za podstawę źródło ich pochodzenia. Konstytucje dzielią się na trzy rodzaje - źródłem pierwszych jest władza, drugich społeczeństwo, a trzecich kombinacja obu tych czynników. Choć podział ten jest grubym uproszczeniem zachowuje go właśnie dlatego, że jest mało skomplikowany.

Próby kombinacji obu wspomnianych czynników nie udawały się w Polsce. Zarówno konstytucji Majowej /1791 r./ jak i Kwietniowej /1935 r./ towarzyszyły już na samym początku ordynarne oszustwa. Ten grzech pierwotny zaważył na ich późniejszym, smutnym losie.

Co się zaś tyczy stanowienia konstytucji przez lud, to nie wykażal on w tym kierunku spodziewanych uzdolnień, o czym świadczy konstytucja Marcowa /1921 r./. Ogólnonarodowy wysiłek zakończył się wówczas małopowiem francuskiego wzorca. Nie byłoby zresztą w tym nic złego, gdyż naśladowanie słusznych i sprawdzonych rozwiązań może być pożyteczniejsze niż samodzielne ale za to długie i mozolne dochodzenie do nich. Pech chciał jednak, że zbliżał się kryzys demokracji a we francuskiej konstytucji zawarty był niebezpieczny przechrzą w stronę wszechwładzy parlamentu. W tej sytuacji należało raczej powołać "do decydującej roli w państwie czynnik niezależny od biurokracji, stojący ponad nią i poza nią".

Nie mieliśmy również szczęścia do aktów oktrojowanych. Ustawa listopadowa /1815 r./ była niestety zbyt rozwlekła i zawikłana. A przecież właśnie zawziętość i precyzja mają istotne znaczenie dla przestrzegania postanowień konstytucyjnych. Zapomniano wówczas, że ograniczenie konstytucji do małej liczby artykułów daje możliwość swobodnego i spontanicznego kształtowania i rozwoju wszystkich sfer życia społecznego nieobjętych przepisami. Im krótsza i jaśniej sformułowana konstytucja, tym mniejsza potrzeba wprowadzania do niej poprawek. Nadanie konstytucji w 1815 roku miało swoje istotne konsekwencje spowodowane tym, że cesarz Rosji był jednocześnie królem konstytucyjnym w Warszawie i samowładcą w Petersburgu. Rosja nie wyciągnęła właściwych wniosków z nieudanego doświadczenia z konstytucją Królestwa Polskiego, co drogo ją kosztowało. Nadanie w 1905 r. konstytucji /tym razem Królestwo zostało częściowo pozbawione dobrodziejstw manifestu Mikołaja II/ zlikwidowało samodzierżawie i przyczyniło się do zniszczenia ustroju monarchicznego w Rosji.

Niektórzy błędnie zaliczają konstytucję lipcową /1952 r./ do grupy ustaw nadanych społeczeństwu. Taki sąd byłby uprawniony, gdyby dokument z 1952 roku posiadał znamiona rzeczywistej konstytucji. Zabrakło w nim jednak dwóch zasadniczych elementów charakteryzujących tego rodzaju akty:

1. Obywatelom jest dozwolone wszystko, co nie jest zabronione
2. Władzom jest zabronione wszystko, co nie jest dozwolone

Brak tych dwóch istotnych elementów czyni z konstytucji 1952-go roku deklarację propagandową, typową dla czasów, w których powstawała. Jeśli tak, to rodzi się pytanie, co w PRL decyduje o rzeczywistym zakresie wolności osobistych oraz o organizacji władz publicznych. Przecież wiele z tego, co dziś jest już dozwolone było dawniej nie do pomyślenia. Zawdzięczamy to obyczajom politycznym, głęboko zakorzenionym w indywidualizmie chrześcijańskim. Obyczaje jeśli już ulegają zmianom, to niewielkim i po długim czasie. Kierunek zmian politycznych, które one wytyczają wydaje się coraz bardziej oczywisty. Stoimy wobec stopniowej redukcji pozostałości socjaletyzmu. Konieczności ekonomiczne wynikające z bankructwa socjalistycznego państwa przyspieszają ten proces.

Nie sądzę, aby z braku nowej konstytucji groził nam chaos. Anglicy przez stulecia obywali się bez pisanej konstytucji i powodziło im się nienajgorzej. To, czego potrzebujemy najbardziej to gwarancje wolności osobistych. Nie żuǳmy się, że dostarczą nam ich nasza rodzima biurokracja. Kiedyś żyła ona z legalnej grabieży dokonywanej pod hasłem planowania i sprawiedliwości społecznej. Dzisiaj robi wiele hałasu wokół nowej konstytucji, bo zwierzyła dobry interes w usuwaniu zaopłata pomników swojej dotychczasowej mało chwalebnej działalności.

Nie spieszymy się ze stanowieniem nowej konstytucji. Można zrozumieć zapał prawników. Też chcą utworzyć parę komisji i coś pożytecznego zrobić. Ich angielscy koledzy w latach 1925-75 opracowali dla terytoriów kolonialnych ponad 500 konstytucyj. Co prawda tylko kilka z nich weszło w życie a do lat 80-tych nie przetrawiła żadna ale prawnicy mieli pełne ręce roboty. Strzeżmy się przeto "fabrykantów konstytucyj", gdyż "razdka są one owocem ludzkiej woli, powstają stopniowo. Tworzy je czas. Są atoli okoliczności, które czynią koniecznym ustanowienie konstytucji. Wtedy jednak zająć się trzeba tylko niezbędnymi rzeczami, pozostawiając całą resztę czasowi i doświadczeniu, aby te dwie potęgi kierowały władzami ustanowionymi w polepszeniu tego, co jest już uczynione i w dokończeniu tego, co do uczynienia pozostaje".

A.P.

Wielkie przetasowanie

Konferencja "okrągłego stołu" zaczęła się dość nieoczekiwanie. Gospodarz spotkania wystąpił w cywilu. Mówcy kolejno czytali swoje przemówienia z kartek. Z twarzy uczestników przebiegało znużenie perspektywą długich rokowań. Nawet wśród najbardziej zadeklarowanych zwolenników dialogu musiały pojawić się wątpliwości.

Ciężka sytuacja finansowa rządu skłania go ostatecznie do podjęcia rozmów. Pośpiech był tak znaczny, że skłonił rzecznika rządu do złożenia oświadczenia o potrzebie skonsumowania tego konkubinatu, jak zostało określone porozumienie rządu z opozycją. Druga strona też spieszyła się do kompromisu powodowana sytuacją we własnych szeregach. Ostatnie strajki ukazały przewodcom opozycji demokratycznej, że dłuższe pozostawanie w konspiracji grozi rozproszaniem sił. Pan M. Król zauważył w wywiadzie "...najbardziej optymistycznie nastawieni członkowie "Solidarności" uważają, że pozyskają najwyższe 30% zatrudnionych w przedsiębiorstwach".

W składzie obu delegacji znajdują się w większości socjaldemokraci. Ich ideały są umieszczone w pobliżu szwedzkiego wzorca. Intellektualiści /9 profesorów/, działacze wysokiego szczebla i ludzie kościoła dominują wśród zebranych. Oba te fakty wskazują na dużą wspólnotę interesów łączącą obie strony. Prawdopodobieństwo zawarcia umowy społecznej jest duże.

W sprawach gospodarczych należy się spodziewać indeksacji płac. Otworzy to drogę do szeregu ingerencji rządu w ekonomię, tym razem z częściową aprobatą demokratycznej opozycji. Trudno przewidzieć czy czeka nas szalejąca inflacja czy też puste półki. Na pewno dojdzie do walki o podział deficytowych dóbr.

Wśród politycznych konsekwencji "okrągłego stołu" zasługuje na uwagę lansowana przez rząd idea stanów generalnych. Zgodnie z tym pomysłem obok stanu rządzącego /PEPR i sojusznicy/ swoją reprezentację posiadałaby opozycja. Spór toczy się o sposób powoływania reprezentacji drugiego stanu. Opozycja życzyłaby dla siebie pięcioprzymiotnikowych wyborów. W razie kryzysu posłowie "społeczni" pochodzący z powszechnych wyborów mogliby wzorem członków trzeciego stanu ogłosić się jedynym suwerenem w państwie.

W ten sposób, przynajmniej na jakiś czas socjalizm w Polsce zostałby ocalony od upadku. Władza utrzymałaby się w rękach socjalistów. Gorzej, że zabrakłoby prądu elektrycznego.

R E X

OGŁOSZENIA! OGŁOSZENIA! OGŁOSZENIA! OGŁOSZENIA! OGŁOSZENIA!

RPA

Nawiążę kontakt z osobami pragnącymi poznać bliżej Południową Afrykę. Kontakt 00-979 Warszawa 34, P.O. Box 56.



PISMO KONSERWATYWNO-NARODOWE POZNAŃ

Horatio GALBA

KONSERWATYZM A CHRZEŚCJAŃSTWO

W przeciwieństwie do wielu opinii Chrześcijaństwo nie jest nierozdzielnie związane z konserwatywną filozofią polityczną. Podobne twierdzenie szokować może przedstawicieli Nowej Prawicy lecz jego uzasadnienie znaleźć można w Nowym Testamencie.

Chrześcijaństwo oparte jest na wierze. Konserwatyzm natomiast bazuje na historii i doświadczeniu. Elementów tych zbyt łatwo pogodzić się nie da. Wiara jest chrześcijańskim sposobem odróżniania dobra i zła. Jeżeli konserwatyzm miałby posilzkować się wiarą w stopniu większym niż empirią dotyczyłby raczej sfery ideologii niż faktów - niebezpieczna to gra, zaakceptowana już przez Lewicę z rezultatem tak przez konserwatystów krytykowanym.

Chrześcijaństwo musi opierać się na wierze ponieważ dotyczy niesprawdzalnego. Trudno natomiast zrozumieć, dlaczego konserwatyści mieliby żądać lojalności wobec czegoś, co nie jest w sposób oczywisty prawdziwe. Interesującym jest, że większość konserwatywnych apologii Chrześcijaństwa nie rozpoczyna od dowodzenia boskości Jezusa lecz od obrony idei Boga

lub świeckich cnót wiary. Udowodnienie, że Jezus jest synem Boga jest, mimo wszystko, zadaniem trudnym lecz podstawowym jeśli założymy, że wiara jest przepustką do konserwatywnej odczarni.

Jeśli chciałby ktoś udowadniać boskość Jezusa, wskazałby najprawdopodobniej na przekazy dotyczące zmartwychwstania zawarte w Ewangeliach. Lecz nawet tutaj nie znajdujemy prawdy bezwzględnej. Weźmy Ewangelię wg św. Marka, napisaną około 40 lat po ukrzyżowaniu:

"Po upływie szabatu Maria Magdalena, Maria, matka Jakuba, i Salome nakupiły wonności, żeby pójść namaścić Jezusa. Wczesnym rankiem w pierwszy dzień tygodnia poszły do grobu, gdy słońce wzeszło. A mówiły między sobą: kto nam odsunie kamień od wejścia do grobu? Gdy jednak spojrzały, zauważyły, że kamień był już odsunięty, a był bardzo duży. Weszły więc do grobu i ujrzały młodzieńca, siedzącego po prawej stronie, ubranego w białą szatę; i bardzo się przestraszyły. Lecz on rzekł do nich: Nie bójcie się! Szukacie Jezusa z Nazaretu, ukrzyżowanego; powstał, nie

ma Go tu. Oto miejsce gdzie Go złożyli. Lecz idźcie, powiedzcie Jego uczniom i Piotrowi: Idźcie przed nami do Galilei, tam Go ujrzyście, jak wam powiedział. Ona wyszły i uciekły od grobu: ogarnęło je bowiem zdumienie i przestraszenie. Nikomu też nic nie oznajmiły, bo się bały."*

Na tym kończy Św. Marek - nikt Zmartwychwstania Jezusa nie widział. Nieco dalej, fragment Ewangelii według Św. Marka, którego autorstwo nie jest do końca wyjaśnione, poprzedzony pojawieniem się Jezusa Marii Magdaleny i dwu innym niewiastom mówi:

"W końcu ukazał się samemu Jedenastu, gdy siedzieli za stołem, i wyrzucił im brak wiary i upór, że nie wierzyli tym, którzy widzieli Go zmartwychwstałego.

I rzekł do nich: 'Idźcie na cały świat i głoscie Ewangelię wszelkiemu stworzeniu! Kto uwierzy i przyjmie chrzest będzie zbawiony; a kto nie uwierzy, będzie potępiony. Tym zaś, którzy wierzą, te znaki towarzyszyć będą: w imię moje złe duchy będą wyrzucać, nowymi językami mówić będą; węże będą do rąk, i jeśli by co zatrutego wypili, nie będzie im szkodzić. Na chorych ręce kłaść będą, i ci odzyskają zdrowie'.

Po rozmowie z nimi Pan Jezus został wzięty do nieba i zasiadł po prawicy Boga. Oni zaś poszli i głosili Ewangelię wszędzie, a Pan współdziałał z nimi i potwierdzał naukę znakami, które jej towarzyszyły."

Czy konserwatyści muszą z to wierzyć? Dowód prawdy nie jest bezwzględny. A co z innymi, pozornie nieracjonalnymi przekazami Biblii: dlaczego Bóg miałby wybierać niektórych ludzi, jeśli wszyscy mamy duszę? Dlaczego Bóg miałby dawać nam życie po to, aby uprawiać szczególną grę, w której ci z wiarą zwyciężają i idą do nieba, a ci bez wiary przegrywają podążając do piekła? I właściwie, na czym polegać ma nadejście królestwa bożego?

Lecz zanim zabrnijemy zbyt daleko w rozważania teologiczne powróćmy do

polityki, w której liberalizm**, a nie konserwatyzm znakomicie czuje się z ideą wiary.

Liberałowie wierzą w potęgę programów socjalnych niezależnie od ich skuteczności - błędnym coś się przecież od nas należy. Twierdzenie podobne jest kwestią wiary. Liberałowie bardziej wierzą - nie patrząc na lekcję, jaką dała nam historia - w międzynarodowe prawo i pokój niż w politykę siły. Jest to kwestia ufności, wiary w porządek porządek rzeczy. W obu tych przypadkach liberałowie wierzą, że wyznaczają wyższość moralną. Konserwatyści natomiast popierają gospodarkę wolnorynkową, tradycyjną moralność i politykę międzynarodową opartą na sile ponieważ kapitalizm tworzy dobrobyt dzielony według zasług i gwarantuje ekonomiczną wolność; ponieważ ci, którzy odrzucają tradycyjną moralność mogą okazać się nieco mniej ludzcy, zepsuci i niesławni; ponieważ siła jest zawsze ostatecznym arbitrem w międzynarodowych dysputach. To są fakty.

Mógłby ktoś argumentować, że wartości chrześcijaństwa - jego moralne nauczanie - są w końcowym efekcie konserwatywne. Lecz nie musi to być do końca prawdziwe. Wśród antropologów panuje opinia, że chrześcijaństwo zastąpiło kulturę opartą na wstydzie, za jaką uważa się kultury grecką i rzymską, kulturę opartą na winie. Poczuć winy może stać się hamulcem zachowań społecznych, ale czy jest ono lepszą obroną niż wstyd, jest kwestią dyskusyjną. Wstyd jest istotną sankcją społeczną. Wina jest nagana udzielana sobie przez siebie. Konserwatyści winni zauważać wartość obu elementów ale większe zaufanie pokładać we wstydzie. Większość konserwatystów skłaniać się będzie ku zasadzie "Honor ponad wszystko" /wstyd/, niż ku śmiesznemu moralizatorstwu Jimmy'ego Cartera /wina/.

Jeśli, zgodnie ze słowami Whittakera Chambersa, Chrystus bez krzyża to liberalizm, należy stwierdzić także, że krzyż nie ma zbyt wielkiego wpływu na nauczanie Jezusa. Chrzęścianie wierzą w równość, odpuszczanie

*/ Cytaty z Pisma Świętego wg "Biblii Tysiąclecia", wyd. trzecie poprawione Wydawnictwo Pallotinum, Poznań-Warszawa 1980. /przyp. tłum./

**/ w amerykańskim sensie tego słowa /przyp. tłum./

grzechów, miłowanie nieprzyjaciół, cnoty ubóstwa. Konserwatyści natomiast w nierówność, karę śmierci, niszczenie wrogów i cnoty dobrobytu twórczego kapitalizmu. Wiara w równość oparta na twierdzeniu, że wszyscy ludzie mają duszę, jest nagana za naturalnie ludzką tendencją do bycia nadludzkim. Konserwatyści są świadomi faktu, że Prokrustowski imperatyw egalitarny jest odpowiedzialny za najbardziej okrutne tyranie znane ludzkości. Co do odpuszczania grzechów, wydaje się być to zaproszeniem do swego rodzaju moralnego relatywizmu, który konserwatyści uważają za główną chorobę naszego wieku. Miłowanie nieprzyjaciół i pochwała ubóstwa natomiast, mogą stać się stosownym programem dla katolickich biskupów lecz nie elementami przenikliwej polityki.

Konserwatyzm bez chrześcijaństwa nie oznacza słabości w kwestiach społecznych. Nie ma powodu, dla którego nie należałoby występować przeciwko aborcjom, homoseksualizmowi czy pornografii na gruncie świeckim. Świecki sprzeciw wobec przerywania ciąży opiera się na zasadzie, według której żywym jest niszczenie niewinnego życia, dopuszczalnym jedynie w przypadkach szczególnych - gdy ciąża jest skutkiem gwałtu lub kazirodztwa lub gdy życie matki jest zagrożone /ponieważ tak, jak życie niewinne winno być chronione, tak i życie nie powinno być narzucane niewinnej kobiecie wbrew jej woli - w przypadku konfliktu tych zasad, pierwszeństwo winna wiać ta druga/. Homoseksualizm i pornografia uważać należy za perversję, a moralitwy w szkole o charakterze nieobowiązkowym mogą być zagwarantowane konstytucyjnie.

Religia jest przede wszystkim sprawą prywatną, relacją między każdym człowiekiem a jego Bogiem. Jeśli chrześcijaństwo nie jest kartą wstępu do konserwatyizmu /lub liberalizmu czy socjalizmu/ należy samemu przyrzec się próżni, pustce, których doświadczenie może być dobrodziejstwem religii. Idea, według której życie doczesne jest niewiele znaczące i ograniczone nie należy do tych, które przyjmują się z entuzjazmem. Religia w takim przypadku, jest pociechą i nie ma powodu, dla którego należałoby ją odrzucać jeśli czyjeś wierzenia religijne nie stają się krępującymi dla innych.

Alternatywą dla tych, którzy odrzucają nihilizm i którzy nie mogą zaakceptować religii, gdyż traktują ją jako niezgodną z prawdą, jest nadanie znaczenia swemu życiu poprzez akceptację wzoru. Jest to wybór, którego dokonał Ernest Hemingway, i chociaż jego wzór nie musi odpowiadać każdemu, istnieje jeszcze wiele innych. Zagadnienie, która z opcji jest korzystniejsza ze społecznego punktu widzenia - ta, w której ludzie skłaniają się ku religii, czy ta, w której trwają przy swoich wzorcach postępowania - jest problemem do dyskusji. Wzorce osobowe są jednoznaczne. Jeśli mają nadawać sens ludzkiemu życiu, nie mogą być łamane bez wyrzeczenia się ich w ogóle. Bóg, przynajmniej w formie nadanej mu przez chrześcijaństwo, jest bardziej wyrozumiały dla przewrotnych. Dla konserwatystów wierzących w kapitalne znaczenie osobistej odpowiedzialności, opcja pierwsza wydaje się bardziej atrakcyjna.

Ale to także jest kwestią osobistego wyboru. Jednakże problem, czy chrześcijaństwo jest lub nie jest podstawowym elementem konserwatyizmu, przedmiotem takiego wyboru być nie może. Jest kwestią wspólnej definicji politycznej. Wysiłki zmierzające do odwołania Machiavellemu, Hobbesowi i Noel Cowardowi - trzem z najgłębszych myślicieli politycznych Zachodu - przynależności do obozu konserwatywnego jedynie dlatego, że nie podzielali poglądu o boskości Jezusa, wydają się szczytem szaleństwa.

Nie powinniśmy pętać się więzami dogmatu i frazesu. Konserwatyści myślący racjonalnie, nie powinni znać się w mniejszości; ci, którzy wierzą, że człowiek nie powinien być zobowiązany abstrakcją, nie muszą usprawiać się przed misjonarzami niewidzialnej i niepoznawalnej potęgi.

Horatio GALBA

CALIFORNIA REVIEW, czerwiec 1987

Subscribe to the racist and sexist magazine in the world.

Subscribe to California Review.

Odpowiedzialni za RYWKI

Już 71 lat trwa najbardziej ponury żart historii: wezwanie w życie najbardziej nieefektywnej koncepcji gospodarczej, jaka kiedykolwiek zrodziła się w umyśle ludzkim.

Nasuwa się pytanie: jak to było możliwe? Jak to jest możliwe? Przecież sama siła nie wystarczy, by utrzymać społeczeństwa w posłuchu. Przecież muszą być argumenty przemawiające chociaż do niektórych, chociaż do tych, którzy siłą dysponują - natura ludzka ma to do siebie, że nawet służąc złu, chce je przedstawić jako dobro. Co więc wymyślono, czym się posłużono, by te nieszczerne pomysły saszczepić setkom milionów ludzi?

Otóż najpierw wymyślono, a raczej odgrzano IDEĘ, prawdziwym wynalazkiem natomiast była METODA.

IDEA istniała od zarania ludzkości i przewijała się przez jej dzieje, by w szesnastym stuleciu zdobyć nawę utopii. Żyli nią marzyciele i mądrali, nigdy natomiast nie przyjęła się wśród ludzi mądrych i doświadczonych, nigdy nie znalazła poparcia filozofów z prawdziwego zdarzenia lub teologów. "Zbudować a j n a s i e m i" - to dopiero zabawa! Znaleźliśmy cel, posiadaliśmy prawdę, żadne koszty nie będą zbyt duże.

Nie miała jednak szansy IDEA póki nie wymyślono METODY, a żeby na to wpadć, trzeba było doczekać przełomu XIX-go i XX-go wieku. METODA stanowi wykorzystanie brzydkiego uczucia zawści, tępnego i spychanego w zroczne zakamarki ludzkiego serca przez wszystkie cywilizacje, religie i kultury. Żeby się nim posłużyć trzeba było stamtąd wydobyć i ładnie nazwać a następnie podnieść do rangi cnoty. I nazwa się znalazła: WALKA KLAS - sąsiad ma więcej, to nie staraj się mieć tyle co on, nie pracuj, nie wybeżaj mięśni i głowy - łatwiej bę-

dzie nazwać go wyzyskiwaczem, wrogiem ludu i po prostu odebrać dorobek jego życia lub życia jego rodziców. W ten sposób wszyscy będą mieli równo, że mało - nie szkodzi. To, że mimo wszystko nie odbierze się ludziom zdrowej żądy zysku i posiadania - tym się nie przejmujemy, może się jednak uda. Nazwiemy żądę zysku brudną i zniechęcimy do niej ludzi - natura ludzka da się odmienić. Tak jak zmienimy bieg rzek na Syberii, tak też wydrzemy z ludzkiej duszy uczucia.

Nie udało się.

Prawa natury i serca działać będą zawsze, ale zamiast by pracując dla dobra jednostki przynosiły korzyść społeczeństwu, działają naślad, ale w najbardziej wynaturzonej formie. Zamiast by zysk przedsiębiorcy był korzyścią tych, którzy korzystają z jego inicjatywy, wcieli się on w skromniejszego prezesa spółdzielni okradającego i członków, i klientów, w nieuczciwego urzędnika, w leniwego robotnika, któremu instynkt samozachowawczy dyktuje, by nie przepracowywał się w fabryce, bo musi mieć siły na fuchy. Jak mówi wierszyk sprzed ćwierćwiecza, póty aktualny, póki socjalizmu: "Socjalizmu się nie lekaj, mało rób, a dużo stekaj, o 14-tej bierz kapotę, p..... majstra i robotę", bo "czy kto stoi, czy kto leży, dwa tysiące się należy"

Kto wie jednak, czy ten instynkt samozachowawczy jednostek, nie jest instynktem samozachowawczym społeczeństwa: kto wie, czy gdybyśmy nie produkowali więcej, taniej, lepiej, nie mielibyśmy mniej, drożej, gorzej: kto wie, czy nie wywieziono by z Polski tę czy w drugą stronę tego, co do wywieżenia się jeszcze nadaje? Przypomnijmy sobie kiedy to było w Polsce w bród - jak na socjalistyczne brody - puszczanej kukurduzy, dziczyzny, grzybów, etc.? Po Czarnob-

była, kiedy to dla Polaków zostało - dzięki Bogu - co prawda skąpe, ale zawsze jedzenie. Był też jeden rok, kiedy można było dostać węgiel niemal - znów jak na socjalistyczne Niemal - bez ograniczeń: rok 1982, kiedy to po strajkach w kopalniach zagraniczni kontrahenci zerwali umowy. Czy bardzo nas smartwiło, że długi wzrosły wówczas być może o dalsze kilkadziesiąt milionów dolarów? Ani trochę! Skoro mieliśmy ciepło w mieszkaniach i szklarniach, a pełniej w żołądkach.

Tak więc prawa psychiki są podobne do praw fizyki - nie dadzą się zlikwidować, ale dadzą się wynaturzyć. Ciekawe jednak, że każdy rozumie dobrodziejstwa prawa ciążenia i wie, że gdyby się je obalilo, być może nie służyłby się nam talerz, ale nie poleciałaby również woda w klozecie. INŻYNIERIA DUSZ - to jest to. Tu żaden eksperyment nie za drogi: 60 milionów wymordowanych lub smarłych z wycieńczenia, to pestka wobec szczęścia przyszłych pokoleń, na które obecne nie ma już co liczyć, bo pamiętajmy: nasz ideał nie musi uszczęśliwić nas, czy naszych dzieci. Skoro to nam nie wyszło, to będziemy uszczęśliwiać tych, co przyjdą po nas, może uda się to za 50 czy 100 lat. Dla nas nie ma ceny, nie ma przeszkód, a czas się nie liczy.

Tak więc od 71 lat ekonomiczny rozwój ludzkości, został dla jej ogromnej części zmarnowany. I to tu zawinił? Jacy tu byli czynni statani? Nie składajmy całej odpowiedzialności na rosyjskich rewolucjonistów, czy wcześniej Hegla lub Marksa - oni zrobili swoje, ale kto jeszcze?

Zanim na to pytanie odpowiemy, powiedzmy słów parę o pięknym wieku XIX-ym - pięknym bez wątpienia dla gospodarki europejskiej. To wówczas w ciągu kilkadziesiąt lat pokryto nasz kontynent gęstą siecią linii kolejowych /przypomnijmy, w latach 1867-77 budowano na Węgrzech 2 km linii kolejowej dziennie, razem 6 tys km w ciągu 10-ciu lat/; to wówczas Poznańskie, niemal równo wydajnością upraw zó z hektara Belgii i Holandii, znalazło się na trzecim po Anglii i Belgii miejscu pod względem gęstości sieci kolejowej; to wówczas zbudowano w Europie przemysł, który zapewnił pracę dziesiątkom milionów ludzi; to wówczas po wprowadzeniu

nowocześniejszych plony wzrosły dwu-trzy krotnie; to wówczas oświata stała się w większości krajów europejskich powszechnie dostępna, a w Południowym, podobnie jak w całych Niemczech, nauczanie na wsi było obowiązkowe do 14 roku życia, a w miastach do 18-tego. To wówczas opieka lekarska i poziom życia najszerszych warstw ludności wzrosły tak znacznie, że populacja Europy, która poprzednio wzrastała w wolnym tempie, w ciągu wieku XIX-go wzrosła 2 i pół krotnie /r.1600 - 100 milionów, r.1800 - 180 milionów, r.1900 - 450 milionów/. To wówczas, w jeszcze ciągle dość biednej Galicji, w dwóch miastach: Lwowie i Krakowie /wielkości dzisiejszego Ostrowa i Gniezna/ było siedem wyższych uczelni; to również w tejże Galicji wśród młodzieży gimnazjalnej 75%, a wśród studentów 50% było pochodzenia chłopskiego. Dziś biedni wieśniacy mogą o tym tylko pomarzyć.

Skoro było tak pięknie - czemu się zawaliło? Odpowiedź jest prosta: bo nie było cenzury, a jeśli nawet była, to nie interesowała jej krytyka społeczna.

Bieda w mieście jest bardziej widoczna od bieda na wsi - tu jest pieś pogrzebany. Mógł poeta w XVIII-ym wieku pisać o Laurcie i Pilonie pod jaworem, ale nie zajął do ich chaty w kilkadziesiąt lat po ślubie i nie spytał, czy z urodzonych 15 dzieci przeżyło dwoje czy troje? Przecież chata wśród pól i łąk jest tak malownicza, po co zaglądać do środka? Za to bieda na miejskim bruku każdy widzi, a bieda jeszcze ciagle w XIX-ym wieku - wieku miast - istniała, chociaż w porównaniu do epok poprzednich znacznie jej było mniej.

I tu wzięli się do roboty ludzie wrażliwi: zapomnieli co było dawniej, widzieli to, co działo się na ich oczach, a więc widzieli: wielkie różnice społeczne, ludzi gorzej ubranych i gorzej odżywionych niż oni sami, ale nie zauważali, że już niemal nie było głodnych, że już niemal nie było zmarłych, że już niemal nie było bezdomnych.

I zabraли się do pisania, gromienia, krytykowania, do budzenia ludzkich serc i sumień. Nie chcieli łać, chcieli dobrze, ale szkoda, że nie patrzyli szerzej i wszechstronniej.

Ze prócz dwójki lokatorów sutereny nie widzieli samotności innych pięter kamienicy, która była zamieszkała nie przez samych wyszukiwaczy i krwopijców, że nie widzieli mieszkania nauczyciela gimnazjalnego, który w XIX-wiecznym Poznaniu miał obowiązek wynajmując 6-cio pokojowe mieszkanie, jeżeli był żonaty, a 4-ro pokojowe, jeżeli był kawalerem, by nie obniżyć rangi społecznej zawodu. Szkoda, że nie widzieli mieszkania lekarza, adwokata, drobnego urzędnika, służbowego mieszkania kolejarza, czy domku robotnika na przedmieściu, a jedynie co dostrzegł w kamienicy, to zamiast zaradności Pani Dąbalskiej, romans jej syna ze służącą i tylko "w strasznych mieszkaniach straszni mieszkanie".

Szkoda, że nie pisali o tym, że w XIX-wiecznej Nici była polska wypożyczalnia książek - nie sądzę, by dla chłopów i robotników - ale ohyba polska wypożyczalnia książek na Łazurowym Wybrzeżu nie utrzymałaby się tylko dzięki fabrykantom i obszarnikom. Podobnie, jak wszystkie bar-

dziej znane kawiarnie Europy, które trzymały na stałe polskie gazety. Proszę dziś spytać o Trybunę Ludu w paryskich czy londyńskich restauracjach: pękają ze śmiechu.

I tu dochodzimy do sedna, tu znajdujemy odpowiedzialnych za rewolucję. Nie zdejmując odpowiedzialności z Leninów, Stalinów, Trockich czy Dzierżyńskich, zastanawiam się, kto napędzał klientów socjalistom, komunistom i innym lewicowym radykałom, kto poprowadził jednych na barykady, a innych powstrzymał od stanięcia na barykadach po przeciwnej stronie i w dostatecznej liczbie by tamtych pokonać? Tak, to byli oni. Wymienię najbardziej winnych, wymienię ich bez wahania: na pierwszym miejscu David Copperfield, a potem Dziewczynka z zapalnikami, Janko Muzykant nie gorszy i, last but not least, Nasza Szkapka.

Każde z nich ma na sumieniu miliony.

Marcin LIBICKI

Władysław HALICZ

Właśnie, z czym komu do twarzy

W numerze 36/88 Przeglądu Wiadomości Agencji Jnych /4.11.1988/ wydawanego przez Solidarność Regionu Mazowsze ukazał się tekst p. Wojciecha Giełżyńskiego stanowiący polemikę z wystąpieniem p. Zbigniewa Bujaka w Klubie Myśli Politycznej im. Jana Strzeleckiego. Artykuł ten jest w pewnym sensie interesujący, gdyś sfornikowania autora wydają się dość charakterystyczne dla postaw reprezentowanych przez część polskich intelektualistów i nie tylko intelektualistów.

P. Giełżyński rozpoczyna od kurtuazyjnego ukłonu w stronę umiarkowanego programu Towarzystwa Gospodarczego w Warszawie i p. Aleksandra Passyńskiego

go, który "...postrzega indywidualną przedsiębiorczość w szerokim kontekście interesu społecznego i nie myli jej z prymitywnym hasłem pozytywistycznym bogacie się!", które towarzyszyło nurtowi narodowej kapitulacji i postawom antydemokratycznym". Co prawda nie jest zrozumiałe, dlaczego apel wzywający do bogacenia się miałby być hasłem prymitywnym. Przecież banalną już chyba jest prawda, że bogactwo kraju stoi bogactwem jego obywateli. Zrozumiałe jest natomiast entuzjazm p. Giełżyńskiego spowodowany odkryciem, że indywidualna przedsiębiorczość służy społeczeństwu. Przypomina mi się moje własne oszokowanie, którego doznałem, gdy zrozumiałem, że mieszkańcy Australii nie chcą

do góry nogami i że Muminki w rzeczywistości nie istnieją.

Dostało się natomiast p.Januszowi Korwin-Mikke, którego idee, motor jego wieloletniej, niezmordowanej działalności politycznej, publicystycznej i wydawniczej zostały zgrabnym zdaniem włożone między bajki. P.Giełżyński pisze: "Kiedy JKM roztacza swe surrealistyczne wizje szczęśliwości, jaką ziści nam liberalizm przy pomocy niewidzialnej ręki", to ja to czytam z rozbowieniem, bo lubię opowieści o baronie Münhausenie, teatr absurdu i tym podobne trele-morele". Po przeczytaniu takiego passusu nasuwa się szereg pytań, na które darmo szukać odpowiedzi w dalszym ciągu wzmlankowanego artykułu. Czy P.Giełżyński nie wierzy w działania praw ekonomicznych? Czy wierzy w życie dostatniego i godnego życia dla niego "królestwem nie z tej ziemi" godnym pedzla Salvadora Dali, René Magritte'a, Giorgio de Chirico czy też pióra Paul Eluarda lub André Bretona? Czy autor uważa, że ową "niewidzialną ręką" zastąpić może coś bardziej "realnego i konkretnego" /np. wszechobecne, wszechmocne państwo/? Nie wydaje mi się, aby P.Giełżyński w ogóle zastanawiał się nad tego typu kwestiami. Wszak nieco dalej pisze: "Gdyby hasło 'Nie ma wolności bez wolności gospodarczej' wygłosił Kisiel Paszyński, Dzielski - nie miałbym nic przeciwko temu, bo to ich uprawnione przekonanie; nie ma znaczenia, że m n i e d o ś c o b o j ę t n o e" /podkr. moje - W.H./.

I tutaj, wydaje mi się, leży klucz, według którego rozpatrywać należy artykuł publicysty z PWi i szereg innych publikacji i wypowiedzi tego typu. W takim kontekście człowiek mówiący o prawach ekonomicznych, prywatyzacji, systemach podatkowych, wolności gospodarczej to zawsze gawędziarz i fan-tasta, a prawicy o roli kapitału w działalności ekonomicznej, giełdzie czy o pieniądzu to "narodowy kapitulant"/sic!/, społeczny typ niegodny miana Patrioty.

Obojętność na sprawy gospodarcze jest zdaje się charakterystyczna dla Polaków. Łatwiej jest przecież wspominać, ponarzekać, porozdzierać szaty, rozróżać niezagójone rany czy zaśpiewać "Boże coś Polskę..." niż założyć przedsiębiorstwo, zarobić pieniądze,

wykupić udział, zarządzać, analizować dane, prognozować rozwój sytuacji na rynku, inwestować itd. Nie wahałby się powiedzieć, iż owa pogarda dla rzeczy realnych, tworzących materialne zręby życia ludzkiego i społecznego jest częścią "historycznego fatum", które, jak się mówi, ciąży nad naszym krajem.

P.Giełżyński zgłasza pretensje do jednego z czołowych działaczy Solidarności, że "nie sprostował swojej legendzie", że podchwytuje hasło wolności gospodarczej. Pisze:

"Nie jest bowiem zadaniem związku zawodowego przeprowadzenie /skądinąd koniecznej/ restrukturyzacji gospodarki; odwrotnie, jego zadaniem jest uparczywa obrona pracowników przed skutkami tej restrukturyzacji, i to nawet wbrew priorytetom ekonomicznym". Zdanie powyższe świadczy przede wszystkim o pewnym, dosyć zresztą rozpowszechnionym, założeniu. Zmiana struktury własnościowej polskiej gospodarki m u s i odbyć się kosztem pracowników /"...i znów robotnicy dostaną po kieszeni..." - jak usłyszałem w trakcie pewnej dyskusji/. Nie bardziej biednego. Wystarczy przyjrzeć się doświadczeniom brytyjskim z ostatnich kilku lat /por. artykuł M.Pirie "Kapitalizm po brytyjsku", Stańczyk nr 8, 9/. To przecież robotnicy stali się podmiotem zmian własnościowych w Wielkiej Brytanii, entuzjastycznie biorąc udział w "parcelacji" własności państwowej /czyli niczyjej/. Cudzystów na wszelki przypadek - wszak słowo nie kojarzy się dobrze.

Czy wzrastająca partycypacja pracowników w majątku przedsiębiorstw stała się, jak pisze P.Giełżyński "...dodatkowym elementem wyszoku i uciemięśnienia, wzmacniającym potęgę klasy rządzącej..."? P.Giełżyński chce bronić robotników. Pytanie jednak - przed czym? Czy nie jest to przypadkiem próba ustanawiania recept zgodnych z zasadą: "...my, Kowalski, wiemy lepiej, co dla was dobre..."? Rezygnacja z partycypacji robotników we własności, z procesów demokratyzacji kapitału, jest zgodną na utrzymanie idei wywłaszczanego pracobiorcy skazanego na "opiekuncze" działania państwa, a ściślej mówiąc, jego administracyjnego aparatu. Przekreślenie dorobku wielu uwłaszczonych narodów wydaje mi się dużym nieporozumieniem...

Jest jeszcze jedna sprawa. P.Giełżyński w swej polemice z wypowiedzią p.Bujaka, jako jedno z zadań Solidarności widzi: "...w możliwie największej mierze koszty kryzysu przetrząsnąć na barki tych, którzy zawini-
li kryzys - to jest nomenklatury oraz tych, którzy na kryzysie szbili majątki - to jest spekulanckich nuroczyków, burżuazji gorącego pieniądza."

Nie wydaje mi się wskazane polemizowanie na temat odpowiedzialności za kryzys w Polsce - komu to teraz potrzebne? Zwraca natomiast uwagę wynikający z tomu tej ostatniej wypowiedzi pogardliwy stosunek autora do szerokich rzesz ludzi przedsiębiorczych i pracowitych, którzy mimo niesprzyjających okoliczności zewnętrznych, potrafili stworzyć własne przedsiębiorstwa, miejsca pracy dla innych, możliwości rozwoju dla siebie i całego społeczeństwa. Pejoratywne użycie słowa "burżuazja" świadczy natomiast o niezrozumieniu historycznej roli tej właśnie warstwy społecznej, która

była motorem cywilizacyjnego rozwoju narodów na przestrzeni ostatnich wieków, a której brak odczuwamy w Polsce do dzisiaj. Wydaje się, że autor winien zweryfikować nieco swoje poglądy na temat kapitalizmu, obecnie przyominające bardzo dorobek Fryderyka Engelsa i być może adekwatne do rzeczywistości wieku XIX-go.

Byłoby lepiej, aby p.Wojciech Giełżyński, skądinąd sprawny publicysta, zajął się tworzeniem artykułów wyjaśniających elementarne instytucje kapitalizmu, z rodzaju tych jakie od czasu do czasu goszczą na łamach pism "Res Publica", "Stańczyk" czy "Gazeta Bankowa".

Chociaż... może lepiej nie, bo znowu dowiedzielibyśmy się na przykład, że zysk to nieopłacona część pracy robotników...

Władysław HALICZ



Rzeczywiście!...jest bardziej otwarty!

A conservative journal is a terrible thing to waste. Please support the California Review, a not-for-profit organization. Thank you.

Michał SIUDA

KU WŁASNOŚCI AKCYJNEJ

Najskuteczniejszym sposobem związania pracownika z zakładem pracy i uzyskania wzrostu wydajności jest doprowadzenie do sytuacji, w której zatrudniony zostaje w dwójnasób związany z miejscem pracy, zarówno jako pracownik najemny oraz jako współwłaściciel. Tylko taki podwójny status wydaje się stwarzać warunki dla rzeczywistego zaangażowania się poszczególnych pracowników w realizację celów produkcyjnych przedsiębiorstwa.

Zrozumienie powyższej zależności winno stanowić jedną z podstawowych przesłanek dla formowania programów gospodarczych. Tymczasem w całym szeregu deklaracji ideowych i programów działania nowopowstających ugrupowań czy stowarzyszeń o wyraźnych ambicjach politycznych trudno się jej doszukać. Pomijając fakt nie wysuwania z a d n y c h koncepcji gospodarczych w wielu deklaracjach da się zauważyć spory galimatias w programach dotyczących reformowania gospodarki. Model samorządowy przeplata się z wezwaniami do prywatyzacji czy wręcz reprivatyzacji i to niekiedy nawet w jednej deklaracji ideowej /poznński "Ład i Wolność"/. Postulat zmiany dotychczasowego systemu nakazowo-rozdziałowego opartego na własności państwowej wydaje się być jedynym punktem wspólnym.

Władze jakby dojrzały do zmiany obecnej organizacji życia gospodarczego i proponują wariant, który zapewne zostałaby z zadowoleniem powitany w roku 1956 - częściowe przeniesienie własności czysto państwowej w kierunku własności ogólnospołecznej. Wiązałoby się to z postawieniem obok dotychczasowego zarządcy, jakim w całej historii PRL-u był dyrektor przedsiębiorstwa, ciała samorządowego w postaci rady pracowniczej. Rada byłaby w sposób demokratyczny wybrana

przez załogę i wyposażona w prawo wpływania na kierunki rozwoju przedsiębiorstwa i wybór dyrektora. Krok ten ograniczyłby znaczenie organizacji partyjnej i dałby załogę pewne skromne możliwości wpływania na losy swojego zakładu, tym samym w jakimś niewielkim stopniu zainteresowałby przynajmniej niektórych pracowników sprawami swojej firmy.

Programy niezależnych środowisk orientacji socjalistycznej idą krok dalej. Mówią o całkowitym uspołecznieniu przedsiębiorstw państwowych. Najważniejszą rolę miałyby spełniać samorząd pracowniczy, któremu podlegałby dyrektor jako bieżący wykonawca postanowień samorządu. Należy przyjąć, że w tym przypadku pewna część załogi rzeczywiście zainteresowałaby się losami swego zakładu pracy. Niemniej przychody pracowników składałyby się jedynie z ich bezpośrednich zarobków. Działalaby dalej prosta zasada: jak najmniej się napracować, jak najwięcej zarobić.

Nic tak nie wiąże pracownika ze swym zakładem pracy jak świadomość, że jest chociażby cząstkowym jego współwłaścicielem, że oprócz swojej pensji jako zatrudniony otrzyma dywidendę jako współwłaściciel. O ile pensja pracownika poza przygotowaniem fachowym, zależy głównie od bezpośredniego wysiłku, ilości przepracowanych godzin, to na wysokość dywidendy wpływa już wiele czynników. Każdy robotnik zdaje sobie praktycznie sprawę, że ogólna efektywność zakładu zależy również od staranności konserwowania maszyn, ich właściwego wykorzystania, oszczędnego gospodarowania energią i surowcami, od ilości wynoszonych w teczach przez kolegów narzędzi czy wyrobów.

W dotychczasowym systemie nakazo-

wo-roszadzielszym poza wąskim marginesem wszechwładnych utopistów nikt, od dyrektora do robotnika, nie jest rzeczywiście zainteresowany rozwojem przedsiębiorstwa. Dyrektor myśli przede wszystkim o tym, by dobrze wypaść przed swoimi zwierzchnikami /ministrem, sekretarzem czy dyrektorem zrzeczenia/, by nie podejmować większego ryzyka inwestycyjnego, gdyż w razie niepowodzenia może go to kosztować utratę stanowiska. Unikanie ryzyka zawsze wytłumaczy trudnościami obiektywnymi, a że, przyszłościowo, zabrania tyle co jego pałac, to często patrzy, by jakos dorobić, czy to sprzedając prywatnemu przedsiębiorcy cenny surowiec jako odpad, czy to kupując nieszyt potrzebną licencję w zamian za "pewną sumkę" na zagranicznym koncie. Podważalni dyrektora stosują natomiast dobrze znaną dewizę: "jak najwięcej wziąć, jak najmniej dać, a reszta mnie nie obchodzi".

Przyjęcie modelu samorządowego z kompetentnym dyrektorem z /konkursowego/ wyboru, z zainteresowaną losom zakładu pracy radą pracowniczą pozwala uwolnić przedsiębiorstwo od najbardziej rzucających się w oczy słabości systemu dotychczasowego. Wprowadzony zostaje rachunek ekonomiczny, eliminuje się marnotrawstwo, rozsądniej gospodaruje się majątkiem i surowcami. Z czasem jednak wychodzą na jaw słabe strony. Naciąg szłóg na wzrost płac kosztem inwestycji długoterminowych; unikanie drastycznych decyzji, przykładowo, zmniejszenie zatrudnienia z powodu spadku ogólnej koniunktury; nieszyt silne związanie pracowników ze swoim miejscem pracy i połączona z tym fluktuacja kadr; trudności w zwiększeniu dyscypliny i wydajności pracy.

Wiele słabości charakterystycznych dla gospodarki samorządowej daje się usunąć dzięki wprowadzeniu akcjonariatu pracowniczego. Dopiero uczynienie szeregowego pracownika akcjonariuszem swojego zakładu pozwala często przeformować decyzje, które byłyby trudne do przyjęcia dla szalegi w systemie samorządowym. Należy się zgodzić, że właśnie pracownik-akcjonariusz najszybciej zaakceptuje decyzję o - powiedzmy - zamroźnięciu płac w związku z inwestycją, która znacznie procentować w postaci zwiększonej dywidendy dopiero po czterech latach, czy też wywołaną

spadkiem koniunktury w danej branży. Łatwiej też pogodzić się z decyzją o likwidacji stanowiska swojego kolegi, które stało się niepotrzebne w wyniku wprowadzonych usprawnień organizacyjnych lub technologicznych. Więzi łączące pracownika-akcjonariusza ze swoim miejscem pracy są zaszytych silniejsze niż pracownika, który akcji nie posiada. W naszej rzeczywistości gospodarczej do rzadkości należy mobilizowanie do wydajniejszej pracy kolegów, wobec których nie jest się zwierzchnikiem. Praktycznie tylko zainteresowani ogólnym wynikiem finansowym przedsiębiorstwa akcjonariusze mogą się zdobyć na nakłonienie swoich kolegów do rezygnacji z poszerzania pracy i zakasania rękawów. Jedną oierpką uwaga kolegi z sąsiedniego stanowiska pracy często bardziej skutkuje od najostrejszej repremydy zwierzchnika.

Możliwości pełniejszego spożytkowania szans płynących z obsadzenia i wykorzystania najważniejszego stanowiska w przedsiębiorstwie dodatkowo przemawia na rzecz modelu akcyjnego. Rada nadzorcza, której członkowie nierzadko znaczną część swych oszczędności związali z losem firmy, niewątpliwie zada sobie trud, by poszukać na stanowisko dyrektora człowieka zdolnego i kompetentnego, potrafi zapewne zdecydowanie zareagować, gdy wybrany kandydat nie spełni pokładanych w nim nadziei. Zasada podwójnego związania pracownika z miejscem pracy nie mogłaby ominąć dyrektora. Byłby on jedynym pracownikiem, który miałby obowiązek wykupienia określonej przez radę nadzorczą ilości akcji. W razie nie posiadania przez kandydata potrzebnych środków można by uruchomić na ten cel specjalny kredyt, czy po prostu wypłacić część wynagrodzenia w papierach wartościowych. Nie trzeba podkreślać, jak kapitalne znaczenie miałoby takie związanie finansów dyrektora z funkcjonowaniem przedsiębiorstwa.

Wprowadzenie własności akcyjnej w sytuacji gdy państwo jest właścicielem środków produkcji nie powinno nastrożać zbyt wielkich trudności. Po ustaleniu wartości majątku przedsiębiorstwa i wartości nominalnej pojedynczej akcji rada pracownicza przekształca się w tymczasową radę nadzorczą i określa liczbę akcji, którą poszczególni pracownicy mogą

zamyć z 50% zniżką. Nabywcom stawia się tylko jeden warunek - nie mogą zbyć swych akcji przed upływem 3 lat licząc od daty zakupu, jeśli nie chcą stracić wspomnianej zniżki.

Osobny problem stanowi wielkość pakietu akcji, który miałyby pozostawić w rękach państwa, czy 25%, czy w ogóle.

System akcyjny może sprawnie działać tylko w ramach wolnego rynku papierów wartościowych. Zarówno przedsiębiorstwa, jak poszczególni pracownicy muszą mieć możliwość swobodnego zbywania akcji, w momencie uznanym przez nich za stosowny.

W obecnych warunkach marnotrawstwa, bałaganu organizacyjnego i przerostów zatrudnienia nie wydają się być uzasadnione postulaty natychmiastowego przekształcenia przed-

siębiorstwa państwowego w przedsiębiorstwo akcyjne. Należy uznać, że rozsądnym wyjściem byłoby rozłożenie tego procesu na dwa etapy. Pierwszy trwający 2-3 lata polegałby na wprowadzeniu pełnego modelu samorządowego i oparciu gospodarki przedsiębiorstwa wyłącznie na rozrachunku ekonomicznym. Byłby to okres usuwania absurdów gospodarczych i przygotowania warunków do przedstawienia gospodarki na system własności pracowniczej. Konsekwentne wprowadzenie tego systemu jest jedynym skutecznym sposobem zapewnienia naszemu krajowi rozwoju gospodarczego.

Michał SIUDA

Michael NOVAK

Prezentowany tekst Michaela Novaka ukazał się jako nr 10/83 miesięcznika IMPRIMIS wydawanego przez Hillsdale College /Michigan, USA/. Tłumaczył: W. Halicz.

WOJNA IDEI



Ameryka, ze swoim systemem demokratycznego kapitalizmu jest zaangażowana w ogólnoswiatową wojnę idei. Wojnę, którą wedle wszelkich danych, zdaje się przegrywać.

Od 1948 roku na świecie uformowało się 111 nowych narodów. Było ich 49, teraz około 160. Większość z tych nowych narodów wybiera, bądź wybrało systemy ekonomiczne różne od naszego. W chwili obecnej mamy na świecie nie więcej niż 30 demokracji, a każdy kraj funkcjonujący demokratycznie, funkcjonuje jednocześnie jako system kapitalistyczny - co oznacza silny sektor własności prywatnej, duże zaufanie do kategorii rynku i systemu bodźców ekonomicznych.

W ciągu ostatnich dekad całe zastępy narodów wybrały różne formy swych ekonomik i wiele z nich nie

wybrało naszej. Kraj za krajem - ostatnio Nikaragua, Angola i wiele innych wcześniej - dokonywało wyboru systemu ekonomicznego, co do którego bez zbyteknego ryzyka stwierdzić można, że prowadzi do depresji i ubóstwa.

Nie ma żadnego powodu, dla którego narody te byłyby zmuszane do takiego czy innego wyboru. Lecz nawet gdy liderzy Trzeciego Świata pobierają nauki w Paryżu, Londynie, czy nawet w Harvardzie lub MIT wybierają etatystyczne modele ekonomik dla swoich narodów.

W czasie rewolucji 1972 roku w Bangladeszu uruchomiono program ekonomiczny rodem z Massachusetts Institute of Technology i Harvardu, według którego rząd znacjonalizował wszystkie gałęzie przemysłu występujące w kraju. Pomyśl był a m e r y -

k a s k i, a nie sowiecki czy chiński. 10 lat później każda z tych gałęzi podupada, a rząd gorączkowo próbuje wyprzedzić to, co jeszcze pozostało w ręce prywatnych inwestorów. Można się było tego spodziewać, ale ani Harvard, ani MIT tego nie przewidział.

Inny przykład dla potwierdzenia mojej tezy wyjściowej o wojnie idei: dwukrotnie brałem udział w pracach Komisji Praw Człowieka Narodów Zjednoczonych w Genewie i otwarcie mogę stwierdzić, że niewielu z naszych sprzymierzeńców, nawet tych z mieszanymi systemami ekonomicznymi, występowało w obronie kapitalistycznej strony ich i naszego modelu. Kiedy mówili generalnie o ekonomii politycznej, bronili "opiekuńczości", "dobrośliwości", socjalistycznych aspektów systemu. W ogóle nie przeciwstawiali się socjalistycznej retoryce; retoryce, która umożliwiała tym, którzy mienią się demokratycznymi socjalistami, mówienie tym samym językiem, co reprezentanci Związku Sowieckiego i Chin. W sprawach ekonomicznych używają tych samych pojęć, zasadniczo tych samych metod analizy i chociaż jedni myślą w kategoriach demokratycznych, a drudzy nie, język pozostaje ten sam.

Słyszysz się sporo o "nieprzystojnym zysku" i nikomu zdaje się nie przychodzić na myśl, że słowo z y s k jest innym określeniem dla r o z w o j u. Oznacza to, że jeśli w jakiegokolwiek aktywności ekonomicznej nie uzyskujesz z niej więcej niż zaangażowałeś - jak by tego nie nazywać: "akumulacja kapitału", "zysk" czy jeszcze inaczej - stoisz w miejscu lub się cofasz. Zasada ta dotyczy tak porządku socjalistycznego, jak i kapitalistycznego: oba wykazywać się muszą akumulacją kapitału, w przeciwnym wypadku kończą się. Jednakże w ONZ wielu przemawia za rozwojem i w tym samym czasie przeciw zyskowi. Nie ma to większego sensu ale nikt nawet nie podnosi problemu. Sprawę tę lekceważy się od prawie 40-tu lat.

Jak można tę sytuację zmienić? Jeśli mamy walczyć w imię idei potrzebne są dwie rzeczy. Po pierwsze musimy o h c i e ć walczyć. Wiele razy organizatorzy różnych programów i sympozjów zapraszają mnie do przedstawienia swoich poglądów. Ton

ich głosu często daje mi do zrozumienia, że uważają mój punkt widzenia za reakcyjny lecz mimo wszystko nalegałabym wziąć udział ponieważ nie mogą znaleźć nikogo innego. Nie ulega wątpliwości, że istnieje wiele powodów, dla których rzeczniczy demokratycznego kapitalizmu winni unikać podobnie ukartowanych okazji, jednakże prawdą jest, że nasze poglądy nie są zbyt często artykułowane.

Po drugie, kiedy jednak werbalizujemy nasz punkt widzenia, ważnym jest, aby nie popełniać błędów fundamentalnych, prowadzić dysput na gruncie wybranym przez naszych adwersarzy. Bardzo ważnym jest, aby zacząć wreszcie obserwować nasze społeczeństwo, tę formę demokratycznego kapitalizmu którą mamy i próbować je ogarnąć takimi, jakimi są.

Przez długi czas, prawie przez całą naszą historię, zrozumienie istoty naszego systemu nie było zbyt ważne dla Amerykanów. Ci, którzy tworzyli ten kraj byli tak zdeterminowani epoką wojen religijnych, przez którą właśnie przebrnęli, że nie chcieli ustanawiać zbyt metafizycznych czy filozoficznych ideologii na samym początku ich drogi. Chcieli, aby ludzie rozpoczęli nowe życie i działali bez artykułowania swoich zasad, ponieważ nie chcieli abyśmy według tych zasad się podzielili. Działali zgodnie z przeświadczeniem, według którego jednostki zdolne są do wspólnego tworzenia nawet wtedy, gdy powodują nimi różne przyczyny wynikające z całkowicie odmiennych metafizyk.

Z tego też względu często się mawia, że Amerykanie mają tę przewagę, że są ludźmi praktycznymi, a nie typem ideologicznym. Nie musimy dyskutować z Sowietami na temat marksizmu-leninizmu czy poglądów Adama Smitha. Jeśli będą potrzebowali wiary, to za pomocą którego mogliby dostać się do swojej ropy naftowej, a nie będą potrafili go wyprodukować, przyjdą po nie do nas. Jeśli skonstruujemy najlepszą łapkę na wyspy, świat wydepcze ścieżkę prowadzącą do naszych drzwi.

Lecz świat odideologizowanego zdrowego rozsądku przeminał. Dziś światem rządzą idee. To nie zdrowy rozsądek jest motorem działania Niko-

raguaneńczyków, Angolanaczyków i innych zmierzających do budowy porządku socjalistycznego. Prowadzą ich idee - idee złe - ku nowym społeczeństwom, które - łatwo to przewidzieć - okażą się klęską. Rola idei we współczesnym świecie niepomiernie wzrosła.

W Stanach Zjednoczonych atak na demokratyczny kapitalizm i niewielki impet naszego kontrataku ma szereg źródeł. Jedno z nich związane jest z interesami pewnych grup pozostających w konflikcie, inne z pewnymi potężnymi trendami intelektualnymi.

We wszystkich agendach rządowych Stanów Zjednoczonych pracuje obecnie 16 milionów ludzi. Tyle samo pracuje także dla korporacji tworzących listę 500 największych firm USA - liczbowo znacząca to przeciwwaga. Stawką w grze między tymi dwoma częściami naszej elity są duże pieniądze, władza i wpływy. Jedna grupa kieruje się dewizą: w interesie Ameryki leży uprawianie interesów, a sektor prywatny warunkuje ruch naprzód jednostek i kraju. Inna grupa, którą zwie się "nową klasą" postrzega, że władza, dobrobyt i wpływy przystają proporcjonalnie do rozszerzania zakresu rządu.

Mamy więc dwie radykalnie odmienne wizje ekonomii politycznej. Z jednej strony ideę, według której jest lepiej dla kraju, gdy rząd jest opiekuńczy i dobroczynny - a więc rozrośnięty. Z drugiej natomiast strony mamy ideę, według której kraj nasz będzie lepszy jeśli ograniczymy rolę rządu tak, aby wyzwolić i pielęgnować indywidualną i zbiorową przedsiębiorczość poza instytucjami rządowymi. Te dwa odmienne wyobrażenia wyrastają z dwu różnych filozofii i wskazują na bardzo różnorodne skutki w dystrybucji władzy, dobrobytu i wpływów.

Druga ze wspomnianych idei, idea demokratycznego kapitalizmu była przez ostatnie dekady w Stanach Zjednoczonych w głębokim odwróceniu. Stało się to nie tylko za sprawą wzrostu nowej klasy ale także tradycji intelektualnych stanowiących dziedzictwo tak lewicy, jak i prawicy.

Nauki społeczne zdają się stawać centrum zainteresowania lewicy. Sam Marks traktował socjalizm jako

naukę społeczną stosowaną. Jego podstawowym założeniem było, że społeczeństwo, podobnie jak natura, może być analizowane, rozdrabniane i składowane ponownie według jakiegoś pomysłowego schematu. Większość przedstawicieli nauk społecznych koncentruje się rzecz jasna na tych aspektach rzeczywistości, które są statystycznie znaczące lub dają się klasyfikować. W swych metodach analizy nie potrafią za bardzo uchwycić zjawiska wolnej woli jednostek, roli rynku czy oddziaływań wolności. Zauważają raczej efekty społecznego warunkowania i zachowań grupowych różnego rodzaju, co ustawia ich w nurcie socjalistycznym nawet jeśli w sensie politycznym socjalistami nie są.

Na przykład, naukowcy mówią i piszą dużo o alienacji. Przypuśćmy, że mamy bezstronnie rozejrzeć się po świecie - nie czytając przedtem zbyt wielu książek - i odszukać najbardziej jaskrawe przykłady alienacji wśród 160 narodów. W których krajach odnajdziemy największą alienację, a w których z kolei największą satysfakcję osobistą, wiarę w przyszłość, utwierdzenie w swoich wartościach? Z takiego przeglądu zwycięsko wychodzą demokracje. Jest to wynik dokładnie przeciwny temu, jakiego można oczekiwać po lekturze traktatów socjologicznych na temat alienacji.

Jednakże nie ma nic zaskakującego w fakcie, że lewica jest antykapitalistyczna. Zdumiewające jest, że tak wielu czołowych intelektualistów konserwatywnych w takich dziedzinach jak historia, literatura, filozofia czy religia jest także antykapitalistycznych. Mój dobry przyjaciel tworzy swoje antykapitalistyczne felietony raz na trzy miesiące. Russell Kirk zamieszcza swoje w "National Review". Ciekawe, że wielu literackich, religijnych czy filozoficznych konserwatystów wskazuje na wiek XVIII jako szczytowy okres rozwoju ludzkości. George Will mawia o sobie "mosaikowy konserwatysta". Ja nazywam go konserwatystą "różanym", ponieważ George naprawdę uważa, że wiejska Anglia była najwspanialsza wtedy, gdy różne kwitły w każdym ogródku; żadnych podłóg, kanalizacji, ekranów; żadnego asfaltu, kart kredytowych czy salonów masażu.

DOKOŃCZENIE NA STR. 48

Zmiany w Chile

W piątek, 7 października 1988 roku, cały cywilizowany świat oniemiał. Referendum przeprowadzone w Chile zdecydowało, że po zakończeniu obecnej kadencji /marzec 1990/ gen. Augusto Pinochet musi odejść. Przeciwko generałowi głosowało ponad 50% uczestników referendum. Dlaczego tak się stało /musiało się stać/? - na to pytanie odpowiemy sobie później. Najpierw trochę historii.

Jest rok 1970. Salvador Allende - założyciel i boss partii socjalistycznej, po trzech wcześniejszych, nieudanych próbach, zostaje wybrany prezydentem Chile. Ma poparcie lewicy, chadecji, związków zawodowych oraz własnej partii. Przeciw sobie - całą prawicę, "Middle class" i armię. Pomimo kilku spektakularnych posunięć mających zjednać mu wszystkich robotników i chłopów /wiejską biedotę/ - między innymi nacjonalizacji kopalń miedzi i wielkich plantacji - sytuacja w kraju nie sprzyja działaniom rządu. Trzy lata strajków, protestów i manifestacji /robotniczych/ ma uświadomić mu własną słabość i przede wszystkim brak koncepcji ekonomicznej, których skutek stanowi ogromna inflacja i ruina gospodarcza. Wydaje się, iż Allende zajęty flirtowaniem z komunistyczną Kubą, pełniący urząd z karabinem w ręku /"Salvadorowi - towarzyszuwi broni - Fidel"/ nie zdaje sobie sprawy z coraz dramatyczniejszej sytuacji Chile.

Nadchodzi 11 września 1973 roku. Generał Augusto Pinochet w imieniu narodu przejmując władzę. Miejsce skompromowanej warstwy urzędniczej etatystycznego państwa zajmują rządy dyk-

tatorskie, pozostawiające jednak miejsce dla działalności partii politycznych i związków zawodowych, a przede wszystkim nie ingerujące w działalność gospodarczą obywateli. 15 lat rządów Pinocheta to stopniowy rozwój gospodarczy Chile, walka z zadłużeniem /spuścizna Allende/, otwarcie kraju dla kapitału zagranicznego. Pomimo nagonki propagandowej całego "postępowego" świata, wewnętrznych wrogów inspirowanych przez Moskwę i Hawanę, pozycja generała-prezydenta wydawała się niezachwiana. Nowa konstytucja przedkładała jego rządy na kolejną kadencję uzyskana głosami ponad 60% wyborców utwierdza w tym przekonaniu. I tu dochodzimy do sedna sprawy. Czy Pinochet przecenił siłę swojej popularności, czy nie docenił możliwości propagandowych swoich przeciwników, nie jest ważne. Błędem było oddanie losu państwa w ręce narodu /ludu/? w chwili, gdy nie jest on gotowy do sformułowania żadnego pozytywnego programu rządów, a grozi to kolejnym Allende lub co gorsza Castro. Kilkanaście partii opozycyjnych, które łączy jedynie niechęć do Pinocheta nie jest dla Chile żadną alternatywą. Dlatego pozostaje nadzieja, że gdy za kilkanaście miesięcy dojdzie do wyborczej konfrontacji zwolenników generała i tej politycznej wieży Babel, zwycięży zdrowy rozsądek Chilijczyków, który zawiódł ich 18 lat temu, a lekcja, którą pobierali przez 3 lata rządów Allende uchroni ich przed repeta.

17 grudnia 1987 roku inicjatorzy - pp. Marek Jurek, Piotr Mierecki, Krzysztof Nowak i Marek Robak - złożyli w poznańskim Urzędzie Wojewódzkim wniosek o zezwolenie na przeprowadzenie zebrania założycielskiego Wielkopolskiego Klubu Politycznego "Ład i Wolność", które w konsekwencji odbyło się 7 stycznia 1988 roku.

13 lutego br. złożono wniosek do Wydziału Społeczno-Administracyjnego Urzędu Wojewódzkiego o rejestrację klubu, do której doszło w pierwszych dniach czerwca. 5 listopada Walne Zebranie członków WKP "Ład i Wolność" uchwaliło prezentowaną niżej deklarację ideowo-polityczną.

ŁAD i WOLNOŚĆ

W poczuciu odpowiedzialności za Polskę, w trosce o poszanowanie prawdziwego porządku moralnego, w oparciu o nasze prawa i powinności jako obywateli Państwa Polskiego, podejmujemy zorganizowaną działalność polityczną i ideową, kierując się następującymi zasadami:

1. zasadą chrześcijańską - uważając, że niezbędnym warunkiem ładu społecznego jest poszanowanie godności osoby ludzkiej, zaś ponad prawem stanowionym przez państwo są normy moralne, a ponad instytucjami - ich stałe zadania wynikające z celów określonych prawem naturalnym;

2. zasadą narodową - uważając, że dobro narodu jako wspólnoty kulturowej i losu politycznego wszystkich dzieci Ojczyzny, stanowi w ramach powszechnego porządku moralnego główne zadanie polityki i cel państwa; uważamy, że dobro Ojczyzny zagrożone może stosowna polityka narodowa realizowana we własnym państwie, nie zaś taki czy inny system polityczny lub organizacja ponadpaństwowa;

3. zasadą państwową - uważając, że gwarantem politycznej podmiotowości narodu jest własne państwo, które jako takie powinno być ramą dla życia politycznego i przedmiotem szczególnej troski obywateli; zadaniem zaś państwa jest ochrona naturalnych i innych praw poszczególnych osób, rodzin i społeczności;

4. zasadą debaty publicznej, jako podstawy życia politycznego, która pozwala narodowi wpływać na sprawy ogółu i wyłaniać reprezentatywne przywództwo.

Obecne państwo jest współczesną postacią państwowości polskiej. Widzimy konieczność jego ewolucyjnych zmian. Pragniemy wpływać na ich kierunek. Nasze zasady i ograniczona suwerenność państwa sytuują nas w ideowej opozycji wobec aktualnego ośrodka władzy, tzn. partii marksistowsko-leninowskiej. Opozycja ta będzie również opozycją polityczną tam wszędzie, gdzie polityka władz, wynikając z założeń doktrynalnych, byłaby niezgodna z tym, co uznajemy za polski interes narodowy. W innych przypadkach, krytyczni wobec władzy, swoje stanowisko wobec poszczególnych rządów czy aktów politycznych uzależniamy od kryteriów podyktowanych dobrem społecznym i interesami Polski.

W szczególności zamierzamy działać na rzecz:

1. poszanowania roli religii katolickiej i Kościoła w życiu społecznym i publicznym naszego narodu;

2. zdrowego rozwoju rodziny i obrony jej praw wychowawczych i ekonomicznych, w tym szczególnie prawa do własnego mieszkania;

3. konstytucyjnej ochrony nienaruszal-

ności poświęcenia życia i zniesienia ustawy legalizującej zabijanie dzieci nienarodzonych;

4. odbudowy polskiej gospodarki przez najszerszą reprivatyzację i popieranie takich form własności, które gwarantują rzeczywistą efektywność gospodarowania;

5. obrony i rozwoju polskiego rolnictwa prywatnego;

6. ochrony środowiska naturalnego;

7. wykształcenia się w życiu politycznym opinii publicznej i jej wpływu na sprawę państwa;

8. wolności zrzeszania się, w tym swobody zakładania takich związków zawodowych, jakich życzą sobie sami pracownicy;

9. reformy prawa dotyczącego środków masowego przekazu, w tym szczególnie prawa prasowego, celem swobodnego ujawniania się istniejących nurtów opinii publicznej;

10. autentycznego samorządu terytorialnego, zawodowego i pracowniczego;

11. ożywiania więzi lokalnych i przywiązania do tradycji regionalnych;

12. przywrócenie ogólnonarodowej funkcji wojska;

13. oparcia polityki zagranicznej na zasadzie interesu narodowego;

14. oparcia stosunków Polski z ZSRR na zasadach partnerskich i współpracy

działania ograniczonego do dół wspólnych interesów;

15. obrony praw i interesów Polski w wypadku wszelkich prób zmiany statusu politycznego Niemiec;

16. ochrony narodowych praw Polaków żyjących na dawnych ziemiach Rzeczypospolitej lub na obczyźnie;

17. zachowania związków wychodźstwa polskiego z Ojczyzną;

Uważamy, że zmiany polityczne, na rzecz których chcemy działać, powinny przyczynić się do nadania istniejącemu państwu charakteru obywatelskiego, w którym podmiotem życia publicznego będzie cały naród, przy czym uszanowane będą jego religia, tradycje i interesy. Nasze postulaty polityczne są zarówno wyrazem naszych przekonań ideowych, jak i obecnej sytuacji i potrzeb państwa polskiego. Uznajemy, że w kwestii sprawowania władzy i formy państwowości, względy racji stanu i nakazy trwania państwa, są istotniejsze od partykularnych koncepcji politycznych poszczególnych ugrupowań. Będziemy dążyli do tego, aby w polskim życiu publicznym znajdowały odzwierciedlenie prawa i tradycje naszego narodu oraz stałe zasady ładu moralnego, które trwają niezależnie od zmieniających się konkretnych sytuacji i praktycznych możliwości ich stosowania

Poznań, 5 listopada 1988r.

DOKOŃCZENIE ZE STR 45

Ze strony religijnych lojalistów atak na kapitalizm i korporacje może być wyjątkowo efektywny, ponieważ pojawienie się demokracji i kapitalizmu wpłynęło na ograniczenie władzy instytucji religijnych. Pozostaje jednak faktem, że kraje demokratyczne i kapitalistyczne okazują się jednocześnie najbardziej religijnymi krajami świata. Stary zjednoczony osobliwie są jednocześnie najbardziej demokratyczne, najbardziej kapitalistyczne i najbardziej religijne spośród innych krajów. Jednakże prawdą jest, że pewna centralność przywódców religijnych obecna w czasach przedkapitalistycznego porządku społecznego

została utraczona. Najokazalsze i najwspanialsze budowle w mieście to coraz rzadziej katedry, a coraz częściej banki i uniwersytety.

Z wielu więc powodów widzimy zdumiewająco mało uduchowioną obronę tego specjalnego rodzaju ekonomii politycznej zwanej demokratycznym kapitalizmem, nawet ze strony dzisiejszych konserwatywnych intelektualistów amerykańskich.

/c.d.n./

Michael NOVAK



Libero

PISMO LIBERAŁÓW - WARSZAWA

KOMENTARZ...

Okrągły Stoł wystartował. Bez nas.

Przypomnijmy fakty. RPR zgłosił chęć wzięcia udziału w tej naradzie od samego początku. Otrzymaliśmy odpowiedź, że "sprawa jest rozpatrywana". Następnie, gdy stało się coraz bardziej jasne, że nie jest to dyskusja polityczna, lecz przetarg grup interesu, wycofaliśmy zgłoszenie.

Wielu Członków RPR uważa to za błąd. Nie podzielał tej opinii - przede wszystkim dlatego, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa i tak nie zostalibyśmy do tych obrad dopuszczeni. Wynika to z analizy składu uczestników tych obrad.

Po pierwsze: są to grupy nacisku, a nie grupy polityczne. Co ważniejsze: te grupy nacisku mają w zasadzie wspólny mianownik polityczny. Są to obrady lewicy i pseudo-lewicy. "Czerwonych" i "Podczerwonych" - jak to kaskiście wyraził się pewien konserwatysta z kręgów kościelnych. Są tam istotnie: "Czerwoni", "Różowi", "Brunatni", a nawet "Żółci" /z Konfederacji Wolnych ZZ/ - aż dziw, że nie ma przy Okrągłym Stołe nikogo z "Pomarańczowej Alternatywy". Są nawet i "Zieloni". Naszych barw: bieli, błękitu, żółta i czerni - nie widać.

Proszę mnie dobrze zrozumieć: to nie musi być wada Okrągłego Stołu! Gdy lewica rządowa dogaduje się z lewicą opozycyjną przy otwartej kurtynie - obydwie strony muszą zachowywać się przyzwoicie. Wydaje się, że postanowienia Okrągłego Stołu przyniosą znaczny postęp polityczny - być może nie dokładnie w pożądanym przez nas kierunku, ale zawsze bliżej zdrowego rozsądku. Jeśli tylko nie dojdzie do znaczących "cichych" porozumień między "lewicą laicką", "lewicą katolicką" i socjal-liberałami /a podobno już ustalono, że dla "dobra publicznego" przez pięć lat nie będzie wolno zakładać partii politycznych/ - to kasztany z ognia wyciągną oni - za nas. Żadne bowiem swobody nic nie dadzą umierającej formacji myślowej. Mogą jedynie obnażyć ich pustkę pojęciową.

To natomiast, że uczestnicy narad Okrągłego Stołu wywodzą się z tej samej formacji, czytali te same książki - Kautskiego, Labriole, Marxa, Luxemburżankę, Abramowskiego, Daszyńskiego, Krzywickiego, Limanowskiego, Galbraitha, Myrdala, Kaleckiego czy Lipińskiego i innych - tylko ułatwia im porozumienie, gdyż mówią tym samym językiem. My raczej przeszkadzalibyśmy, bo zamiast określenia wprowadzenia akcji zwrotem: "Dalsze pogłębianie i rozwijanie socjalizmu drogą zwiększenia wpływu klasy robotniczej na decyzje gospodarcze" mówilibyśmy o wprowadzeniu kapitalizmu... Byłby to niemiły zgrzyt - a przecież chodzi o to samo.

Takim niemiliym lapsusem towarzyskim było wystąpienie p. Wiądryśława Siły-Nowickiego, któremu nie spodobał się skład uczestników. Kto w tramwaju domaga się, by się posunąć i wypuścić jeszcze kogoś - a zwłaszcza ideologicznych przeciwników? Toteż wypowiedź p. Siły-Nowickiego została przemilczana przez prasę i TV. W dobie, gdy p. Jacek Kuroń bryluje na ekranie przez pół godziny, jest to charakterystyczne - nikt Go nie poparł. Przyjrzyjmy się więc składowi uczestników Okrągłego Stołu.

Drużyna p. Miodowicza jest ideologicznym curiosum. Są tam populiści rozmaitych odcieni, od komunistów /z imiennikiem Trockiego jako reprezentantem żydo-komuny - by nikt nie miał wątpliwości! / po ND-ków typu Oboz Wielkiej Polski, tj. lubiących nacjonalizować przynajmniej wielki przemysł. Poglądy samego p. Alfreda Miodowicza są tajemniczą dla wszystkich, z Nim samym najprawdopodobniej włącznie.

Nieco lepiej jest z poglądami p. Lecha Wałęsy - określić je można jako centro-lewicę chrześcijańską. Spór wewnątrz "S" między tą orientacją, a socjaldemokratami, socjalistami, syndykalistami, trockistami i innymi - są sporami rodzinnymi, a więc zaciekłymi. Są, jak wiadomo, w "S" również inne orientacje - ale tych wokół Okrągłego Stołu jakoś nie widać.

Delegacja PZPR jest niewyraźna politycznie - ale generalnie popiera socjal-liberalną linię p. Mięczysława F. Rakowskiego. Delegatów OPZZ oceniają oni - słusznie - jako groźną, lewicową opozycję. Delegację "S" traktują jako ideowego pobratymcę - 26 lutego na premierze sztuki Wacława Havi'a pojawił się p. MFR, a p. Adam Michnik trzymał po przedstawieniu mowę, zupełnie rozsądną skądinąd. Demokratyzacja - tylko dla lewicy, rzecz jasna - samorządność przedsiębiorstw itp. hasła są wspólną bazą. Można tylko westchnąć: gdyby to porozumienie nastąpiło w 1980... Gdyby p. Wałęsa 14 grudnia nie odmówił być przyjęcia p. MFR twierdząc, że "żadnego Rakowskiego nie zna"... Gdyby p. gen. Jaruzelski od początku postawił p. Rakowskiego /ale wtedy jeszcze w Moskwie rzadził L.I. Breżniew, od którego p. MFR miał "szlaban"/ na czele rządu - to dziś mielibyśmy system polityczny i już wiedzieli byśmy, że socjaldemokracja nie uratuje gospodarki. Po wprowadzeniu go teraz nauka może przebiegać w wałęsiej się szkole...

Z naszego punktu widzenia znacznie groźniejsi od socjaldemokratów są lewicowi chadecy. Grupa "Tygodnika Powszechnego" wcale nie ukrywa, że jest za socjalizmem - ale tym dobrym, prawdziwym - szwedzkim lub meksykańskim, powiedzmy. Nie ukrywa - przed wtajemniczonymi. Na łamach "Tygodnika" trzyma się jednak twardo linii chrześcijańskiej - i taktyka ta daje wspaniałe rezultaty. Jest to wilk w owczej skórze, a raczej: owca udająca pasterza. Nauczona doświadczeniem owce nie skaczą już za baranem w socjalną przepaść - ale za pasterzem? Może ten numer jeszcze raz się powiedzie?

Dalej idzie zupełnie rozsądna politycznie delegacja ZSL-u, mająca własną bazę i starająca się dorosnąć do czasów. Wcale nie wykluczone, że jej się to uda! Rodzynkiem tej delegacji jest p. profesor Mikołaj Kozakiewicz - nie tyle ludowiec, co autentyczny libertarianin.

Następnie nieco słabsza reprezentacja SD, której mocnym punktem jest prawnik, p. Piotr Winczorek - a słabym rzecznik prasowy, p. Adam Wysocki, bezbarwny weteran kilku etapów i odnów.

Z tajemniczych powodów występuje przy Stole p. Jerzy Ozdowski, reprezentujący "Odpowiedzialność i Czyn" /kto o tej grupie słyszał? / i nie mający nic do powiedzenia - natomiast nie występuje np. p. Janusz Zabłocki z ODISS-u. Poniekąd reprezentantem tej grupy jest p. mec. Siła-Nowicki, któremu nie tylko zamknięto usta, ale zdezawuowali go pp. Janusz Onyszkiewicz i Andrzej Wielowieyski.

Trudno tu omawiać wszystkich uczestników. Jest np. niesłychanie zacny i rozsądny - ale nieco naiwny politycznie p. prof. Klemens Szaniawski. Dwaj kościelni arbitrzy należą do przeciwnych skrzydeł ideowych /bardzo mądra polityka ks. Prymasa!/. Trzeba jednak powiedzieć

jasno: prawica przy tym stole nie istnieje! Poza p.Siłę-Nowickim siedzi tam tylko p.Aleksander Hall - człowiek miły, ale bynajmniej nie reprezentatywny dla ND. Przy "bocznych" stolikach mamy p.Gabriela Janowskiego i miał tam być p.Mirosław Dzielski, który ciężko chory, jednak nie zdążył wrócić z USA. TO WSZYSTKO!

Nie mówmy więc o "porozumieniu narodowym". Mówmy o ramach przyzwyczajonych przez lewicę - o Chjeno-Lwie, powiedzmy. Nie możemy od tej formacji niczego konstruktywnego oczekiwać, ani brać za to odpowiedzialności. To ONI coś robią. Gosnodarki nie uratują, nie uratują też morale narodu. Wierzę jednak, że stworzą przynajmniej rozsądne i przyzwoite ramy dla przyszłych działań politycznych.

I to byłoby bardzo wiele!

Komentator

Czy Okrągły Stół jest okrągły?

Mec. Siła-Nowicki specjalnie dla „STĄNCZYKA”

Janusz Korwin-Mikke – Panie Mecenasie, teraz, gdy p.Onyszkiewicz zwolnił Pana z reprezentowania "Solidarności", może Pan ze mną mówić swobodnie, bez żadnego bagażu...

Władysław Siła-Nowicki – Pan Onyszkiewicz nie jest kompetentny, aby zwolnić mnie z przedstawicielstwa "Solidarności". Jestem związany z "Solidarnością", a nie z niektórymi osobami z "Solidarności" i tu tkwi różnica.

JK-M – Pan Onyszkiewicz jest niewątpliwie przedstawicielem lewego, nieawanturniczego skrzydła w "Solidarności", nie wiem, czy dobrze to określam?

WS-N – Pan Onyszkiewicz jest człowiekiem bardzo inteligentnym, bardzo ciekawym, ale absolutnie niekompetentnym, aby mnie oceniać, czy zwalniać z przedstawicielstwa w "Solidarności". Uważam, że reprezentuję ideę "Solidarności", a nie takie czy inne układy personalne.

JK-M – W tej chwili istnieje co najmniej parę skrzydeł w "Solidarności" i żadne chyba nie ma uprawnień do występowania w imieniu całości "Solidarności"?

WS-N – Obecnie sytuacja w "Solidarności" jest następująca – jedyną legalną władzą "Solidarności", wybraną jeszcze przez Zjazd, jest przewodniczący Lech Wałęsa. Pozostałe struktury Związku działające tutaj, wiele ludzi w nich występujących, zarówno działaczy, jak i innych stanowi coś, co można nazwać zarządem komisarycznym i z tym trzeba się liczyć w odniesieniu do tych nurtów "Solidarności", które do obecnego kierownictwa, skupionego wokół Lecha Wałęsy nie należą. Bo przecież przewodniczący Związku nie jest kompetentny, aby mianować taką komisję. I dlatego uważam, że powinny tu być reprezentowane wszystkie nurty "Solidarności". Przy Okrągłym Stole powinna siedzieć "Solidarność" grzeczna i niegrzeczna. Dziś sytuacja jest taka, że potrzebna jest w tej chwili właśnie ta "Solidarność" niegrzeczna i w pewnym sensie ekstremalna. A z drugiej strony, gdyby ta "Solidarność" niegrzeczna i jej przedstawiciele zasiadli przy Okrągłym Stole, od razu staliby się grzeczniejsi i zbliżyli się do realiów.

JK-M – A co Pan powie o przedstawicielach innych kierunków politycznych przy Okrągłym Stole?

WS-N – Niewątpliwie Okrągły Stół nie jest reprezentatywny dla różnych kierunków politycznych. Prezentuje on przede wszystkim lewicę, pewną część centrum, a nie reprezentuje innych kierunków. Siedzą tu ludzie nie mający najczęściej zdecydowanego oblicza politycznego, intelektualści, ludzie nauki, cieszący się dużym prestiżem społecznym, ale nie mogą oni uchodzić za reprezentację całego społeczeństwa, mimo całego szacunku jaki im się należy. Przy Okrągłym Stole brakuje natomiast kierunków liberalnych, oraz prawicy i Narodowej Demokracji.

JK-M – Czy oczekiwał Pan czegoś innego znając skład Okrągłego Stołu?

WS-N – Składu Okrągłego Stołu nie znałem, natomiast zdecydowanie stoję na stanowisku, że musi być on wzmocniony przez przedstawicieli różnych nurtów "Solidarności", a także przedstawicieli innych kierunków politycznych niezależnie od tego czy są one ekstremalne, czy umiarkowane.

JK-M – No tak, p.Przectawska powiedziała, że dobrze się stało, że ich nie ma, bo nie sposób dalej dzielić społeczeństwo. Czy więc jest to dzielenie społeczeństwa?

WS-N – Zajęcie miejsca przy Okrągłym Stole jest wyrazem dążenia do łączenia społeczeństwa. Jak dalece to łączenie jest możliwe, świadczy przecież debata Wałęsy z Miodowiczem, gdzie przecież ludzie stojący na przeciwnych biegunach potrafili wymienić poglądy i to w sposób kulturalny na oczach całego społeczeństwa i na pewno nie oddalić a zbliżyć się do siebie.

JK-M – Czy nie uważa Pan, że kursujący ostatnio termin "niekonfrontacyjne wybory" jest uroczym fragmentem nowomowy?

WS-N – Uważam "niekonfrontacyjne wybory" za rzecz podobną jak miłość wyłącznie korespondencyjna. Jedno i drugie na pewno jest bezpłodne. Wybory polegają na tym, że między czymś trzeba wybierać. Trudno przecież zrobić niekonfrontacyjne wybory np. królowej piękności.

JK-M – A jakie Pan teraz odbiera sygnały od ludzi, bo ja widzę, że w ciągu dostawnie ostatnich dwóch dni nastąpiło zniechęcenie społeczeństwa tym, co się dzieje przy Okrągłym Stole?

WS-N – Ja tego zniechęcenia nie widzę. Część społeczeństwa wiąże jednak nadzieję z Okrągłym Stołem, ponieważ pomyślnie jest już to, że w ogóle do niego doszło. Dokonuje się jednak jakiejś próby, a co z tego wyniknie, zobaczymy.

JK-M – Czy sądzi Pan, że są jakieś szanse na rozszerzenie składu Okrągłego Stołu?

WS-N – Tego nie wiem, ale wierzę, że jeżeli np. Okrągły Stół doprowadzi do uchwalenia optymalnej ordynacji wyborczej, którą przecież możemy mieć oraz do autentycznych wyborów znacznej części parlamentu, to nawet przy założeniu sporej reprezentacji PZPR i jej satelitów, jeżeli na miejsca przeznaczone dla bezpartyjnych wejdzie każdy, kto będzie miał autentyczne poparcie społeczne i będzie mógł w tym parlamencie zasiąść – to będzie to oznaczało ogromny postęp. Nie żyjemy przecież w próżni, nie możemy nie porównywać się z tym co było 30, 35, 40 lat temu, ani nie porównywać się z tym, co jest obecnie w Rumunii, Bułgarii, NRD, Czechosłowacji, na Węgrzech, a także w ZSRR.

JK-M – Czy czuje Pan poparcie dla swojego stanowiska wśród uczestników Okrągłego Stołu, z jakiegokolwiek strony?

WS-N – Na pewno tak. Są ludzie, którzy podzielają moje poglądy, a poza tym czuję poparcie w "Solidarności". Są też stoczniovcy szczecińscy, z mandatu których przy Okrągłym Stole siedzę.

JK-M – Tak się składa, że w Sierpniu 1980 roku ja również byłem w Szczecinie, ale nie o takie poparcie mi tu chodzi. Ja chcę wiedzieć, czy zgadzają się z Panem ci, którzy przy Okrągłym Stole już siedzą?

WS-N – No, na pewno tak.

JK-M – Panie Macenasie, czy chciałby Pan powiedzieć coś specjalnie dla liberalnej prawicy, dla czytelników "Stadczyka"?

WS-N – Uważam, że prawica powinna być również reprezentowana przy Okrągłym Stole z wielu względów. Można się z tym nie zgadzać, ale prawica reprezentuje przecież wielką myśl polityczną w Polsce, która jest dorobkiem całego społeczeństwa, a to trzeba szanować. No, a poza tym prawica jest jednym z ważnych nurtów politycznych w życiu społecznym.

JK-M – A jakieś ciekawostki z obrad Okrągłego Stołu?

WS-N – Cóż, można powiedzieć, że taką ciekawostką było uczczenie przez Okrągły Stół pamięci dwóch kapłanów, którzy ponieśli tragiczną śmierć i tak czy inaczej oceniając ten wniosek, trzeba stwierdzić, że wszyscy się do niego jednomyślnie przyłączyli – to też jest wyraz pewnej jedności i uważam, że powinno się to pokazać na cały kraj.

JK-M – Czy ogląda Pan sprawozdania TV z obrad, czy ma Pan do nich jakieś zastrzeżenia?

WS-N – Mam zastrzeżenia, że nie transmitowano mojej wypowiedzi, że skwitowano ją kilkoma ogólnikami twierdząc na dodatek, że była ona polemiką z p.Przectawską, co nie jest

prawdą. Wygłosiłem przecież dłuższe, ponad 15 min. przemówienie, podałem w nim pewne zasadnicze fakty i problemy aktualnego stanu rzeczy przy Okrągłym Stole, a p.Przectawska wygłosiła tylko krótki sprzeciw wobec propozycji rozszerzenia składu Okrągłego Stolu oraz zwróciła uwagę na problem młodzieży... Dlatego też informacja TV o polemice p.Przectawskiej ze mną jest nieprawdziwa.

JK-M – Czy będzie Pan starał się uzyskać dostęp do kamer TV, żeby tę sprawę wyjaśnić?

WS-N – Uważam, że powinno to zostać wyjaśnione, gdyż nie można dopuścić, żeby Okrągły Stół był dla jednych okrągły, a dla innych okraglejszy. I muszę tu na podstawie tego, jak potraktowano moją wypowiedź stwierdzić, że nieprawdziwy jest entuzjastyczny tytuł artykułu w "Polityce" – "Okrągły Stół bez kantów".

JK-M – Znakomite motto. Czy coś jeszcze?

WS-N – Mimo wszystko uważam, że to, że Okrągły Stół doszedł do skutku i że w tych warunkach odbywają się narady, jest faktem pozytywnym i niosącym jakąś nadzieję, którą można umacniać podany przeze mnie wynikiem polemiki Wałęsa - Miodowicz.

JK-M – Ja za to podejrzewam najgorsze rzeczy zarówno wtedy, jeżeli porozumienie nie zostanie podpisane i jeszcze gorsze, kiedy zostanie podpisane.

WS-N – Ale to jest tylko Pana prywatne zdanie.

JK-M – Tak, bardzo dziękuję Panie Mecnasie.

Druga izba

Obecne aspiracje społeczne do demokracji parlamentarnej budzą u mnie mieszane emocje. Realność ich ograniczają zrozumiałe obawy władzy przed utratą kontroli nad rozwojem sytuacji, a rzeczywiste skutki społeczne parlamentarnej demokracji, jak o tym świadczy historia, nie muszą być jednoznacznie korzystne.

Dlatego obecny kryzys systemu i jego ideologii powinien prowadzić do rozwiązań zadowalających obie strony konfliktu, nawet jeżeli droga okazałaby się okrutna. Niestety bardzo trudno prowadzić politykę, jeżeli odkryło się wszystkie karty, słowo "dobrze" zastąpiło się pochopnie słowem "socjalizm", a słowo "socjalizm" z lewica, a piaszczyną porozumienia jest program prawicowy: urynkowanie gospodarki, przywrócenie samorządności, wolności, odpowiedzialności, a także godności, patriotyzmu, praworządności i prawdomówności. Mówi się o konieczności rzeczywistej akceptacji programu rządowego, o rządach mniejszościowych w porozumieniu z większością o nieco innych poglądach, a nawet o dwuizbowym parlamencie.

Brawo! Jeżeli władza chce utrzymać lejce reformując gospodarkę i pobudzając aktywność społeczną, to powinna się częściowo przenieść do izby lordów, pozostawiając izbę niższą w większej mierze społeczeństwu. Myślę, że w obu izbach powinny być reprezentowane wszystkie główne dopuszczone przez władzę opcje polityczne i społeczne. Różnica między izbami powinna sprowadzać się do tego, że izba wyższa powinna składać się z osób mianowanych przez partie, stronnictwa i stowarzyszenia i grupować ludzi doświadczonych, częściej utytułowanych i niekoniecznie powszechnie popularnych, ale znamienitych w jakiejś dziedzinie i otwartych na złożoność ludzi i zjawisk. Rolą tej izby jest dopuszczenie do zmian niepożądanych.

Natomiast izba niższa powinna być populistyczna, powinna wynikać z mandatu społecznego, dynamiczna, progresywna, powinna być w nieustającym ataku, nastawiona na zmiany zdecydowane, radykalne i gruntowne.

A ile będzie partii? To już mniej ważne. Myślę, że powinni odzyskać głos socjaliści. Powinna pojawić się partia chadecka i liberalna. Ale ilość mandatów nie musi wynikać z rzeczywistej popularności. Wystarczy, że będą w wystarczającej przeciwadzie dla władzy, pozostawiając niezbędną przewagę sojusznikom dotychczasowych partii i stronnictw. A jak się to już wszystko dokona, to być może można będzie już sobie pozwolić również na pełną konkurencyjność. W końcu ludzie naprawdę mają różne poglądy i naprawdę je czasem zmieniają, a jak już je zmieniają, to nie muszą się niczego obawiać.

Bogdan Witold Sękowski

Republika bananowa - jutrzeńka swobody

Aleksander Solżenicyn powiedział: z władzą radziecką nie będziesz się nudził. Rzeczywiście, trzeba przyznać, że władze komunistyczne wyróżniają się wśród wszystkich świeckich władz niezwykłą dbałością o dostarczenie swoim niewolnikom świętych tematów do rozmów, dyskusji, polemik i kłótni. Niektórzy obserwatorzy życia w krajach socjalistycznych uważają błędnie, że zabiegi te są uprawianiem propagandy. Może kiedyś, w zamierzonych początkach tak było, ale teraz tak aktywność przekracza ramy tego, co zwykliśmy uważać za propagandę, a więc jakieś formy perswazji, przekonywania. Teraz chodzi o coś więcej - o dostarczenie ludności namiastki życia intelektualnego, a nawet duchowego. Jurij Szerech tak scharakteryzował istotę tego procesu: "W rzeczywistości nikogo w ZSRS nie obchodzi, co człowiek myśli i nikt nie ma ochoty go przekonywać. Istota polega na tym, aby nauczyć człowieka co i jak ma mówić. To jest ważne. Aby człowiek nie milczał i mówił to, co należy". Jurij Szerech formułował tę opinię jeszcze za życia Józefa Stalina. Od tamtej pory zaszły w krajach socjalistycznych pewne zmiany, nie tak duże jednak, by można było opinię tę zakwestionować. Można by ją tylko wyrazić tak, iż władze uczą ludzi mówić w ten sposób, że narzucają im tematy rozmów oraz sposób ich ujęcia, przy czym to ostatnie robią jakby od niechcenia i właściwie z poczucia obowiązku. Rzecz bowiem w tym, żeby ludność nie zorientowała się, że żyje namiastką życia intelektualnego i duchowego, kiedy akurat przerabia cocktail pojęciowy, przygotowany na dany sezon. Natrętne narzucanie sposobu ujęcia mogłoby nasunąć podejrzenie o sztuczności całej operacji. Jeżeli zatem nie można inaczej, wystarczy, że władza panuje nad zakresem tematycznym rozmów, publicznych dyskusji itp. W rezultacie, mimo pozorów umysłowego ożywienia, wszystko zostaje po staremu, mało kto dochodzi do jakichś konkluzji, bo w odpowiednim momencie zreżymnie zmienia się temat rozmowy, wskutek czego prawie wszyscy zdają się zapominać, o co właściwie jeszcze wczoraj tak namiętnie się spierali.

Obecnie takim dyżurnym tematem jest reforma gospodarcza, no i oczywiście nadzieja na okrojowanie jakichś politycznych swobód. Rzucenie hasła reformy gospodarczej i obudzenie nadziei na okrojowanie jakichś swobód miało na celu odwrócenie uwagi ludności PRL od tego, że rząd daje jej coraz mniej paszy, która zresztą jest coraz gorszej jakości. Dzięki bajce o reformie, która jest jedynie wariantem dawniejszych bajek o świetlanej przyszłości, no i oczywiście nadziei na polityczne swobody, ludność rajcująca od rana do nocy ani pomyśli o zrzuconiu jarzma. Dyskusje dają satysfakcje z uczestniczenia w ratowaniu ginącej ojczyzny, zaś czekanie na polityczne swobody zwalnia od odpowiedzialności. O to właśnie idzie komunistycznym władzom - żeby ludność wałkowała zadane tematy i nie dowodziła.

Wałkowaniu zadanych tematów i powstrzymywaniu się od dokazywania sprzyja dokonany przed laty podział na dobre i złe słowa. Dobrym słowem mianowano "dialog", a złym słowem mianowano "walkę". Walka została bezwzględnie potępiona, już to w imię zaoszczędzenia narodowi, który tak wiele wycierpiał z rąk okupanta hitlerowskiego, kolejnej martyrologii, już to w imię pokoju, jako wartości najwyższej. Karierę robi "dialog", a kariera tego pojęcia jest błyskotliwa tym bardziej, że angażowanie się w dialog oznacza w warunkach państwa komunistycznego uniknięcie odpowiedzialności za skutek. Jeżeli bowiem jeden z partnerów programowo wyzeka

się walki, czyli skazuje się na dialog, to klucz do powodzenia, a nawet samego prowadzenia dialogu posiada ten partner, który żadnych paktów konwentów ze swoją cnotą nie zawierał i z góry nie odzęgnuje się od niczego. Dialog między takimi partnerami, o ile do niego dojdzie, będzie musiał toczyć się w takich ramach i w takim kierunku, jak postanowi ów partner bez skrupułów. Partnerowi skrupulatnemu przypada w gruncie rzeczy rola jakiegoś asystenta, albo jeszcze lepiej - ministranta, recytującego ustalone od wieków odpowiedzi. I jeszcze jedno - jest coś moralnie obrzydliwego w objawianiu entuzjazmu do dialogu z partnerem, o którym wiemy, że zdolny jest do każdej zbrodni, a więc i do wiarołomstwa. Nikt, kto dba o reputację, nie zalecałby dziś dialogu np. z Adolfem Hitlerem i zarazem nikt nie widzi niczego niewłaściwego w zalecaniu dialogu z Gorbaczowem, który w Afganistanie uprawia ludobójstwo na skalę nie mniejszą, niż Adolf Hitler w Polsce. Wydaje mi się, że "dialog" spełnia dzisiaj funkcję pseudonimu, pod którym występuje tchórzostwo.

Skoro zatem jesteśmy tchórzami, to rzeczywiście, nie pozostaje nam nic innego, jak dyskutować o reformach gospodarczych i swobodach politycznych. Ponieważ omawiamy te tematy w rozmaitych ujęciach, to w końcu musiała wyłonić się kwestia wzajemnego stosunku między nimi, a więc stosunku wolności politycznych i gospodarczej pomyślności. Przybrała ona postać pytania, czy pomyślność gospodarcza zależy od demokracji.

Żeby odpowiedzieć na to pytanie, należy uprzednio wyjaśnić sens słowa "demokracja". Jeżeli rozumiemy to słowo jako rządy większości, to nie ma żadnego powodu do przypuszczeń, że między demokracją a pomyślnością gospodarczą zachodzi jakiś trwały związek. Jednakże w Polsce częściej używa się słowa "demokracja" w zupełnie innym znaczeniu, a dowodem na to jest używanie słowa "demokratyzacja". Używa się więc określenia "demokracja" w znaczeniu pewnego zakresu wolności politycznych i gospodarczych. W tym znaczeniu można już mówić o uchwytym, trwałym związku między demokracją, a gospodarczą pomyślnością. Wreszcie ów zakres swobód można również rozumieć w dwojakim sensie: albo chodzi tu o współuczestnictwo w sprawowaniu władzy państwowej, albo też pozostawiony człowiekowi zakres decyzji dotyczących jego własnej osoby, jego własnego majątku, sposobu życia itp, decyzji, których nie musi on z nikim uzgadniać, jeśli sobie tego nie życzy. Jeżeli mówiąc "demokracja" mamy na myśli taką właśnie sytuację, to niewątpliwie istnieje trwały związek między demokracją, a formami cywilizacji gospodarczej, które się udały.

My jednak nie rozpatrujemy tej relacji w ogóle, ale w warunkach PRL - państwa socjalistycznego. Czy i tutaj da się uchwycić jakiś wzajemny stosunek między gospodarczą pomyślnością, a jakimś zakresem demokracji, czy może lepiej - wolności?

Pierwszy minister Wojciecha Jaruzelskiego, Mieczysław F. Rakowski przedstawił był program gospodarczej sanacji, polegając na skierowaniu całej energii na rolnictwo i budownictwo, zwłaszcza mieszkaniowe. Mieczysław F. Rakowski przedstawiając ten pomysł nie omieszczał kreować siebie jego autorem, no i w ogóle Wielką Nadzieję Białych. Usłyszeliśmy wszyscy, czego to on nie dokona jako pierwszy minister - będzie zabijał ludzi gołymi rękami! Tymczasem pomysł nie jest nowy, ponieważ publicznie przedstawił go autor, prof. Stefan Kurowski na I Zjeździe "Solidarności" w Gdańsku, w roku - chwalić Boga - 1981. Program prof. Stefana Kurowskiego znany był pod nazwą konwersji gospodarczej i polegał m. in. na podjęciu działań w pięciu obszarach:

a/ przesunięcie środków z inwestycji produkcyjnych do produkcji

przemysłowej, b/ przerzucenie środków produkcji z rolnictwa państwowego do indywidualnego, c/ przerzucenie części niewykorzystanych środków produkcji z sektora państwowego do prywatnego, d/ ograniczenie sektorów jałowych /m. in. zmniejszenie produkcji zbrojeniowej/ oraz e/ poddanie rewizji naszych umów handlowych z zagranicą pod kątem opłacalności, przy czym dotyczyć to miało obydwu obszarów płatniczych oraz połączone być miało ze staraniami o odroczenie płatności długów, zaś sam handel zagraniczny miał być poddany kontroli. O ile sobie przypominam, program ten wymagał, według obliczeń prof. Kurowskiego, środków finansowych w kwocie ok. 3 mld. dolarów. Był to rok 1981, od tamtej pory wojciech Jaruzelski i jego ministrowie dokazywali 8 lat, a w tym czasie majątek produkcyjny w znacznym stopniu się zdekapitalizował zaś warunki finansowe państwa również się pogorszyły. Z tych też powodów również powodzenie programu przedstawionego przez Mieczysława F. Rakowskiego musi kosztować więcej niż 3 mld dolarów. Tymczasem kraje, które ewentualnie mogłyby pożyczyć te miliardy, stawiają warunek, by władza zgodziła się na poszerzenie zakresu wolności politycznych i gospodarczych w stopniu satysfakcjonującym społeczeństwo polskie. Być może jest to wybieg, mający w tej przyjemnej dla społeczeństwa polskiego formie ukryć brutalną odmowę. W takim razie okoliczność, że rządy zachodnie używają właśnie takiego wybiegu świadczy o ich pewności, że władza na żadne tego rodzaju kompromisy nie pójdzie. Jeśli tak, to reformatorski program zaprezentowany przez Rakowskiego udać się raczej nie może, bo biczyci z piasku umiał w Polsce kręcić wyłącznie Pan Twardowski, a i to nie jest rzecz pewna. I Rakowski doskonale o tym wie, bo mimo wszystko jest to człowiek inteligentny. więc cóż?

Wobec to, że "reforma" i "minister Wilczek" oraz inne tzw. "bajery" to są wszystko środki pozoracyjne mające ukryć rzecz inną, właściwą operację. Coś bowiem Rakowskiemu udać się musi, gdyż niebezpieczeństwo zagraża z innej strony. Chodzi o to, że jak wiemy, komunizm programowo znosi własność, jako źródło osiągnięcia dochodów osobistych. Jednakże z czegoś dochody te trzeba czerpać, więc nie znoszące próżni życie wprowadza na miejsce własności przywilej, który jest metodą przekształcania majątku publicznego w prywatny. Możliwość korzystania z przywileju jest w ustroju socjalistycznym związana z zajmowaniem miejsca w systemie władzy.

Ponieważ przywilej jest metodą przekształcania majątku publicznego w prywatny, możliwość jego efektywnego realizowania uzależniona jest od stanu majątku publicznego. Stan majątku publicznego jest w Polsce opłakany, co siłą rzeczy powoduje ograniczenie możliwości realizowania przywilejów, ale także - co jest znacznie groźniejsze - radykalnie ogranicza, a właściwie uniemożliwia rozszerzanie klienteli, stanowiącej społeczną bazę elity władzy w państwie socjalistycznym. Wśród tej klienteli rodzą się oznaki znecierpliwienia, co grozić może w perspektywie dekompozycją obozu rządzącego. Do niedawna próbowano wycisnąć zaszuby krajowe poprzez łupienie niewolników, tzn. podnoszenie cen, ale ostatnie buntury stanowiły sygnał ostrzegawczy, że jest to proceder niebezpieczny, gdyż młodzież chyba już przewąchała, co w trawie piszczy. Z drugiej strony próbowano rozszerzenia klienteli elit władzy drogą, że tak powiem, bezinwestycyjną, czyli metodą schlebiana rozmaitym frajerom, co do których istniały przypuszczenia, że będą służyć za darmo. Tak narodził się PRON,

w którym emeryci mogą przeżyć ostatnią wielką przygodę swego życia, władając w komitetach blokowych. Ale i to traci powoli powaby nowości nawet dla tych najbardziej niewyżytych.

Dlatego też rząd PRL stoi przed alternatywą: albo poprawić stan majątku publicznego, albo szukać środków na utrzymanie koalicji poza tym majątkiem. Władza, jak się wydaje, nie jest skłonna pójść na kompromis polityczny, od którego, teoretycznie, zależy uzyskanie środków na poprawę majątku publicznego. Nie dziwi nas tedy symptom świadczący o kierowaniu całej energii rządu na szukanie środków zaopatrzenia klienteli poza majątkiem publicznym. Wobec miserii rodzimego kapitału, środki te można znaleźć za granicą, skłaniając kapitał obcy do przeniesienia swych walorów do Polski.

Nie jest to pomysł z gruntu zły z punktu widzenia wiedzy. Ma on jednak pewną nieusuwalną wadę. Tę mianowicie, że Polska leży w wojskowej strefie sowieckiej, zaś system socjalistyczny jako taki nie stwarza specjalnych gwarancji kapitałowi prywatnemu. Z tego też względu trudno spodziewać się inwazji poważnych, milionowych inwestorów, którzy aktualnie znajdują znacznie dogodniejsze, a przede wszystkim bezpieczniejsze tereny ekspansji w Azji czy Afryce. Rząd polski może tedy liczyć na odzew geszeftiarzy, którzy naturalnie zostaną awansowani do rangi "biznesmenów" i którym władza będzie dawała rozmaite koncesje, dajmy na to, na wyrąb Puszczy Białowieskiej itp. Oznacza to, że nomenklatura wejdzie w spółkę z owymi geszeftiarzami, a w spółce tej będzie kapitalizowała swoją pozycję w systemie władzy. Nastąpi oto pierwszy krok w kierunku uwłaszczenia nomenklatury, ponieważ w tej sytuacji przywilej nie wystąpi już w stanie czystym, a zostanie trwale powiązany z własnością.

Realizacja takiego właśnie rozwiązania oznacza, że Polska wejdzie w etap kształtowania się stosunków społecznych i politycznych znanych pod ogólną nazwą REPUBLIKI BANANOWEJ. Istotą republiki bananowej jest korupcja, która stanowi spoiwo tego tworu społeczno-politycznego. Naturalnie oznacza to dalsze rozwarstwienie społeczeństwa, połączone z urzędzyswistnictwem ewangelicznej przestrogi: "Każdemu, kto ma, będzie dodane, a temu kto nie ma, zabiorą nawet to co ma" (Łk. 19.26.).

Mimo to jednak uważam, że republika bananowa, jako formacja społeczno-ekonomiczna, stanowi znaczny postęp względem socjalizmu realnego. Istota tego postępu sprowadza się do tego, że w republice bananowej **m u s z ą** istnieć pewne powszechnie obowiązujące reguły, dzięki którym możliwa jest korupcja, umożliwiająca z kolei funkcjonowanie organizmu państwowego. Uboczny, ale niezwykle ważny skutek zarówno korupcji, jak i towarzyszących jej reguł, polega na tym, iż w republice bananowej zakres wolności ludzkiej jest znacznie szerszy i oparty na trwalszych podstawach, niż to ma miejsce w socjalizmie realnym. Sprawne funkcjonowanie republiki bananowej wymaga bowiem liberalnego systemu prawnego, zaś realizacja deklarowanych tam praw podmiotowych zależy li tylko od posiadania pieniędzy, które teoretycznie może mieć każdy. W tym sensie republika bananowa realizuje postulat powszechnej równości wobec prawa, która nie występuje w socjalizmie realnym. Może ktoś powiedzieć, że to nieprawda, bo korupcja, jako zasada republiki bananowej ułudowana jest na przywileju, a ten z kolei stanowi obrazę powszechnej równości wobec prawa. Z pozoru tak jest w istocie, ale zwracam uwagę na fakt, że w republice bananowej korzyści wynikające z przywileju, a nawet sam przywilej każdy może sobie **k u p i ć**, podczas gdy w socjalizmie realnym jest to niemożliwe, gdyż korzystanie z przywileju uzależnione jest od

deklaracji ideologicznej, a poza tym pewne grupy ludzi są a priori wyłączone, nawet teoretycznie, od jakiegokolwiek przywileju. Mam oczywiście na myśli wrogów ludu pracującego. Jak powiedziałem, możliwość realizowania praw podmiotowych zależy w republice bananowej od posiadania pieniędzy. Tymczasem od czego zależy możliwość korzystania z praw podmiotowych w socjalizmie realnym? Po pierwsze, zakres tych praw, o ile w ogóle można mówić o ich istnieniu, jest niezwykle wąski. Po drugie, ich realizacja uzależniona jest od okoliczności zgoła nieuchwytnych, np. od nastrojów na plenum. Nie ma w tym żadnej przesady; wiemy, że nastroje na plenum przesądzały o uznaniu całych grup społecznych za wrogów ludu, co drastycznie ograniczało zakres ich teoretycznych uprawnień, nie mówiąc już o możliwości ich realizacji.

Dlatego też, mimo odruchu zawiści na widok bogacących się komunistów, powinniśmy powitać nadejście republiki bananowej w PRL z nadzieją na stopniowe odzyskiwanie wolności przez osobę ludzką. Nie nastąpi to, rzecz prosta, jako skutek jakiegoś "dialogu", ale jako naturalny, chociaż uboczny i bodaj nawet niechciany, ale nieuchronny rezultat oparcia dochodów na własności. I mimo możliwości, a nawet zasadności podnoszenia przeciwko republice bananowej w PRL zarzutu niesprawiedliwości dziejowej, powinniśmy zastanowić się, zanim przystąpimy do jej zwalczania. Doszliśmy bowiem do tego stanu, że alternatywą republiki bananowej będzie rewolucja socjalistyczna.

Andrzej Stanisławski



Artykuł p.Andrzeja Stanisławskiego zawiera bardzo ciekawą wizję przyszłego układu stosunków politycznych i ekonomicznych w Polsce. W porównaniu z socjalizmem republika bananowa byłaby wielkim krokiem naprzód w kierunku odrodzenia cywilizacyjnego naszego kraju. Przenikliwość i zdolność do trafiania w sedno cechujące autora stoi w zaskakującej sprzeczności z rytmicznymi manifestacjami wrogości do reżimu, "Systemu", "Komunistów" itd. Utrzymany w soc-opozycyjnej nowomowie wstęp /ok. 3/4 tekstu/ nie ma żadnego związku z koncepcją republiki bananowej, przywodzi natomiast na myśl praktyki znane z realnego socjalizmu, kiedy to autorzy całkiem rozsądnych artykułów czy książek, opatrywali je obowiązkowo deklaracjami ideowej i politycznej prawomyślności. Nie sposób dociec dlaczego p.Stanisławski naśladuje ten obyczaj. Czyżby zaiste oryginalna koncepcja republiki bananowej wydała mu się tak śmiała, że przestraszył się tego co sam wymyślił i poczuł się zmuszony złożyć ukłon Królowej Opinii?

Nie wątpimy, że czytelnicy "Stańczyka" umiejący wychwytać istotne treści spośród nic niemówiących frazesów dostrzegą oryginalność pomysłu p.Stanisławskiego, mimo że tak usilnie pragnął on ją ukryć.

/gb/

Narodowcy na lewicowym kursie

Ukazał się okolicznościowy numer "Gazety Warszawskiej", Narodowcy a przynajmniej jeden z odłamów obozu narodowego, mogli wreszcie przemówić pełnym głosem. W numerze wyróżnia się, co nie jest niespodzianką, tekst p. Jędrzeja Giertycha, będący krótką historią "Gazety Warszawskiej". Twórczość tego historyka, publicysty politycznego oraz jego działalność wydawnicza zasługują na wielkie uznanie. Miejmy nadzieję, że spółka "Słowo i Czyn" udostępni czytelnikowi w kraju jego świetne książki, choćby te o Piłsudskim i Dmowskim. Najwyższy już czas przełamać monopol piłsudczyków w tym względzie.

Narodowcy, choć sami plasują się na prawicy, wydawali mi się zawsze zbyt postępowi. Niewątpliwie głośłowne były oskarżenia Jerzego Moszyńskiego, który obserwując początki ruchu narodowego widział w nim dzieło masonerii lub wręcz niemiecką agenturę. Ale już opinie Scriptora /Erazma Piltza/ wyrażone w "Naszyc stronnictwach skrajnych" należy potraktować z uwagą i zastanowić się nad ich trafnością. Niejasny stosunek do powstań narodowych /do Wielopolskiego żywili narodowcy ledwie skrywaną niechęć/, tendencje rewolucyjne, schlebienie masom, upolitycznienie ludu przez agitację i propagandę polityczną zwaną dla niepoznaki oświatą ludową - coś z tego wszystkiego pozostało do dziś w ideach narodowców. Np. p. Tomasz Wituch w artykule "Aktualność dzieła Romana Dmowskiego" pisze, że "Fundamentalnym założeniem i jednym z głównych celów ruchu narodowo-demokratycznego była demokratyzacja narodu". Ta "demokratyzacja narodu" jest wyrażonym w nowo-mowie określeniem zgłajszachtowania społeczeństwa, o którym marzą lewicowcy wszystkich odcieni. Dalszy wywód p. Witucha potwierdza moją opinię: "Młodemu pokoleniu trudno sobie dziś wyobrazić siłę i głębię klasowych i kastowych przedziałów jeszcze pół wieku temu osłabiających spistość narodową". No cóż, jeśli to obozowi narodowemu zawdzięczamy "spistość narodową", pod którą kryje się wyobrażenie ujednoliconej, bezforemnej masy poruszanej uczuciem nienawiści do każdej wyższości; jeśli polityka obozu narodowego, ma zamiar odwoływać się do zawiści żywionej przez motłoch po to, by zaspokajać jego dążenie do urawniłowki to nie widzę żadnych różnic pomiędzy obozem narodowym a socjalistami. Jest rzeczą zadziwiającą, że p. Wituch /może powinien dobrać sobie przydomek "Egalité"/ ogłasza swoje kryptosocjalistyczne poglądy na łamach pisma, które reklamuje m.in. "Prawa dziejowe" prof. F. Konecznego. W rozdziale "Nierówność" pisze prof. Koneczny: "Zgodzą się zapewne wszyscy, że im większe zróżnicowanie tym lepiej dla społeczeństwa i dla państwa". Nie-etykiety, nie wszyscy. P. Wituch do nich nie należy. Dla niego ideałem jest "bizan-tyński zastój w jednostajności".

Byłoby źle, gdyby kolektywistyczno-egalitarne tendencje zwyciężyły w obozie narodowym. Oby demokratyczna zawiść owocująca wrogością wobec elit nie określiła programów i działań narodowców. Staliby się wówczas faktycznymi sprzymierzeńcami socjalistów. Doprawdy nie przystoi ludziom prawicy posługiwanie się takimi schlebającymi masom sloganami w rodzaju "Lud był w tym ujęciu ostoją, fundamentem i rdzeniem narodu". Bardziej to pasuje do demagogów z PSL-u. No, może nie ma się czemu dziwić. Wszak to endecja zawarła z PSL-em pakt lancetorowski po to, by wspólnymi siłami wyniszczyć ziemiaństwo. Zapewne w imię likwidowania klasowych i kastowych przedziałów, o których z taką zapiekłą nienawiścią wspomina p. Wituch.

Zająłem się bliżej artykułem p. Witucha, bo zaniepokoiły mnie pobrzmiwające w nim tony rodem z notatnika partyjnego lektora, ale najważniejszym tekstem "Gazety Warszawskiej" jest, będący swego rodzaju manifestem politycznym narodowców, artykuł p. prof. M. Giertycha zatytułowany "Jestem za Paktem Warszawskim, nie za socjalizmem". Najbardziej zdumiewające jest to, że p. prof. Giertych określający się już w tytule swego tekstu jako przeciwnik socjalizmu w ogóle nie precyzuje tego terminu. Z jego artykułu nie dowiadujemy się, co to właściwie rozumie on pod pojęciem "Socjalizm". Dlatego do jego deklaracji należy odnieść się ze zrozumieniem i życzliwością, ale nie bez pewnej rezerwy. Tym bardziej, że niektóre rady p. prof. Giertycha jako żywo przypominają hasła socjalistycznej propagandy. Píše on na przykład: "Chodzi o to, by pracować nie tylko dla siebie, ale nie tylko dla zarobku czy swojej wygody, ale też dla dobra narodu jako całości". Otóż człowiek pracuje dla siebie i dla swojej rodziny i jeśli tylko praca ta przynosi mu zarobek to powinno być dla każdego oczywiste, że praca ta jest uczciwa i korzystna dla innych a więc dla narodu. Natomiast pod hasłami "pracy dla narodu jako całości" kryje się niebezpieczne dążenie do uczynienia ludzi niewolnikami jakiegoś kolektywu, na rzecz którego mają pracować. W praktyce oznacza to oddawanie uczciwie i ciężko zarobionych pieniędzy za leniem i nieudacznikom /rozbudowana opieka socjalna/ oraz biurokracji będącej widzialną "emanacją narodu" a która hasło "pracy dla narodu jako całości" rozumie jako pracę, której owoce jej właśnie przypadną w udziale. Z poprzednich okresów znamy wypisywane przez propagandystów hasło "Pracując dla kraju, pracujesz dla siebie". Mam poważne obawy, że pod wpływem narodowców zostaną one przerobione na: "Pracując dla narodu, pracujesz dla siebie".

Pewne wskazówki co do ekonomicznego programu narodowców znajdziemy w artykule p. W. Olszewskiego "Kim jesteśmy". Obok niewątpliwie słusznych postulatów upowszechnienia własności i oddanie handlu w ręce prywatne znalazły się w nim takie, które budzą poważny niepokój. P. Olszewski pisze: "W sferze zarządzania państwa powinien pozostać przemysł wydobywczy, energetyczny i komunikacja. A także tak zwane przedsiębiorstwa użyteczności publicznej".

Ależ dlaczego? Wiadomo przecież nie od dziś, że upaństwowiony przemysł przynosi zawsze deficyt, obojętnie w Polsce, Francji, Zjednoczonym Królestwie czy Japonii. Podobno Roman Dmowski był wielbicielem Japonii. Niech więc narodowcy biorą z Japonii przykład i niech się nie wahają przed prywatyzacją PKP. Deficytowy przemysł państwowy utrzymywany ze środków publicznych przyczynia się do zmniejszenia bogactwa narodowego, a przecież to ono właśnie tak leży narodowcom na sercu. Chyba, że chcą swoim zwolennikom rozdać dyrektorskie fotele w państwowych przedsiębiorstwach.

Inny projekt p. Olszewskiego to subsydiowanie rolnictwa. Rozumiem, że narodowcy chcą zdobyć poparcie chłopów ale dlaczego ma się to odbywać kosztem innych. Przecież subsydia biorą się z podatków a podatki pochodzą od obywateli. Jeśli narodowcy będą posługiwać się socjaletatystyczną filozofią ekonomiczną dokonując legalnej grabieży jednym po to, by subwencjonować drugich to doprowadzą do tego, czego chcą najusilniej chcą uniknąć: do zantagonizowania grup zawodowych i społecznych. Co wówczas z narodową spójnością, o której tyle się rozpisują? Przewiduję niestety, że "interes narodowy" stanie się pod rządami narodowców sloganem, którym posłużą się grupy nacisku i lobbies mające na względzie nie abstrakcyjny ale całkiem konkretny, bo własny interes. Patriotyczny eksport, patriotyczne dotacje, patriotyczne cła, patriotyczna protekcja - oto, co nas czeka. Tak na marginesie dodam, że jeśli narodowcy zechcą subsydiami kupować poparcie chłopów to mogą im zaręczyć, że z pewnością przeliczują ich w tym tzw. ludowcy.

To, co potrzebne jest zarówno rolnictwu jak i całej gospodarce to wolność a nie subsydia. Jeśli polityka narodowa ma polegać na tym, że jedna część narodu będzie ponosić ciężary na rzecz innej jego części, to nie wróżę tej polityce oszałamiających sukcesów. Chciałbym w tym miejscu złożyć ważną deklarację: "Nie chcę, aby chłopie mnie subsydiowali i nie chcę ich subsydiować. Nie zamierzam również z własnych pieniędzy utrzymywać tych, którzy będą rozdzielać subsydia choćby gorąco mnie przekonywali, że nie chodzi im o dobrze płatne posady ale o interes narodowy".

Na koniec chciałbym wszystkim polecić "Gazetę Warszawską" bo jest w niej sporo interesujących artykułów.

Juliusz Kot

Maurycy ROJSKI

Nowy wspaniały świat – – czyli postępowi intelektualisci w ofensywie

Bądź jagnięciem,
a na pewno spotkasz rzeźnika.

Wilfryd Pareto

W ostatnim czasie naśladowując swoich zachodnioeuropejskich i amerykańskich towarzyszy nasilili swoją propagandę przeciwnicy kary śmierci. Swoje argumenty wzmacniają perswazją odwołującą się do emocji. Perwersyjna wyobraźnia moralna tych postępców pozwala im w karze śmierci widzieć akt zemsty czy wręcz morderstwo popełnione w majestacie prawa. Za ich prostacką retoryką, zgodnie z którą nie ma właściwie różnicy między mordercą a sędzią, prokuratorem czy katem ukrywają się anarchistyczne instynkty wrogie wobec podstawowych zasad ładu społecznego warunkującego wolność i sprawiedliwość.

Kiedy przyjrzymy się bliżej pokrętnym sofizmatom postępców intelektualistów odkryjemy wpisana w nie osobiwą wizję historii naszej cywilizacji. Oto przez wieki cała Europa pogrążona była w mrokach barbarzyństwa. Zdziczenie było tak powszechne, że ludzie nie zauważali, że sędziowie to w rzeczywistości mordercy w togach dokonujący bezkarnie morderstw na spółkę z katem. Przez całe wieki trwała ta rzeź w majestacie prawa. I trwałaby zapewne nadal, gdyby nie znaleźli się ludzie wrażliwi i światli, którzy wszystkie wyroki śmierci zdemaskowali jako Justizmord i postanowili wspólnym wysiłkiem przerwać ten haniebny proceder. Ogłosili oni ludziom, którzy dumni byli z przeszłości chrześcijańskiej Europy i jej wielkich dokonań, że to wszystko zostało zbrukane krwią przelewaną przez morderców w togach, że prawo nie było naprawdę prawem lecz okrutną przemocą, że to, co uważano przez wieki za przejaw sprawiedliwości było niczym innym jak podłym oszustwem. Nowi prorocy, którzy zdemaskowali mord uprawiany przez sądy ogłosili tym samym nadejście nowej ery. Dawny świat pełen krwi i przemocy ustąpi miejsca nowemu, dawny człowiek nie potrafiący w swym zaślepieniu rozróżnić sprawiedliwego wyroku od mordu umrze a pojawi się nowy człowiek, który kierowany przez kapłanów humanitaryzmu osiągnie wreszcie swój cel - życie w miłości, wolności i braterstwie.

Marzenia natchnionych proroków nie spełnią się - to pewne, ale ich fałszywe idee rozsiewane od dziesiątków lat nie będą czekać na jutrzeńkę nowej ery, aby wydać zatrute owoce. Skoro uznano, że wszyscy sędziowie wydający wyroki śmierci są mordercami to czy może dziwić, że wielu morderców-terrorystów wdzia-

ło togi sędziów i nie dokonuje już zbrodniczych zamachów ale feruje wyroki a mord dokonany na niewinnych nazywa egzekucją. Taki jest los idei - z sędziów zrobiono morderców, przeto mordercy zrobili się sędziami.

Wiele już razy, przed rewolucją 1789 roku we Francji, przed rewolucją 1917 w Rosji, przed narodowosocjalistyczną rewolucją w Niemczech deklamowano z patosem humanitarystyczne hasła, wielbiono człowieka, marzono o świecie bez przemocy a polityczne lumpy kiwały z uznaniem głowami cierpliwie czekając na swoją godzinę. To były te czasy, o których pisał Ernest Juenger, że zniesiono karę śmierci podczas gdy nocami biali i czerwoni podrzynali sobie gardła. Nie chciano przepłacać żadnej krwi nawet krwi morderców. Za pogardę dla rzeczywistości, dla podstawowych faktów życia społecznego zapłacono daninę krwi tysiąckroć obfitszą. Po wegetarianach przyszli kanibale.

Postępowcy, humaniści, socjalni reformatorzy działają zawsze dla dobra ludzkości ale niewidzialna ręka przemienia ich szlachetne intencje w skutki odwrotne od zamierzonych. Pacyfiści potępił wojnę nazywając ją mordem, żołnierze uznali za morderców i wojny naprawdę zamieniły się w mord, a żołnierze w morderców. Socjaliści odrzucili wolny rynek piętnując go jako system wyzysku i powstał socjaletyzm czyli system legalnej grabieży, która jest wyższym w czystej postaci. Lewicowi intelektualiści atakowali tradycyjną rodzinę w imię wyzwolenia od tyranii ojca a ujrzelśmy dzieci i młodzież ujęte w karby masowych organizacji, maszerujące karnie w pochodach, przemieniające się w stado /nazywane ruchem społecznym /kierowane przez sprytnych demagogów/. Odrzucone tradycyjne autorytety, aby zastąpić je nowymi, za którymi masy pójdą ze ślepą wiarą. Humanitaryści hołubili przestępców, aż w końcu władza wpadła w ręce rzeźmieszków. Demokraci obiecywali więcej demokracji a zwiększyła się jedynie władza funkcjonariuszy i speców od manipulacji "opinią publiczną". Edukacjonaliści obiecywali więcej wykształcenia dla wszystkich a skończyło się na rozdawaniu "więcej dyplomów za mniej wykształcenia". Utopiści głosili "zasadę nadziei" a przyszły lęki i katastroficzne nastroje.

Leon Tołstoj nawoływał do niesprzeciwiania się złu. Wielu posłuchało. Zło nie okazało na siebie zbyt długo czekać. Rosja spłynęła krwią.

Gandhi głosił walkę bez przemocy a pozostawił po sobie morze krwi przełanej w rzeziach będących skutkiem jego polityki.

Socjalni doktorzy, przyjaciele ludzkości, doktrynerzy-idealiści, polityczni mistycy, sentymentalni humaniści marzą w głębi duszy o wygnaniu z ludzkiego świata bólu, cierpienia, przemocy. Ale każda próba dokonania tego powiększa sumę bólu i cierpienia, przynosi więcej przemocy. Pamiętajmy o tym, gdy przyjdzie nam słuchać kapłanów nowej religii socjalnej. Po Tołstojach zawsze przychodzą bolszewicy.

c.d. ze str. 14

stanowi prawa zasadnicze, Izba Niższa je egzekwuje, stosuje np. w postaci ustaw majątkowych itp. Nie muszę chyba dodawać, że zarówno godność posła, jak i senatora sprawowane być powinny bezpłatnie. Dla 6 drachm w Grecji Areopag wypełnił się motłochem. Nie inaczej było przez kolejne nacje wieków historii demokracji. Nie ulega wątpliwości, że Izba Niższa winna pochodzić z wyboru. Ważne jest by nie były to wybory powszechne, a zasadą być powinno, że im szersza jest populacja kandydujących i głosujących, tym więcej szczebli pośrednich powinien przejść późniejszy poseł. Kryterium zasadniczym uczestnictwa w wyborach musi być prawo własności (patrz: "Scala mobile", Rex, Stańczyk - 9): jest regułą, że tam gdzie rządzą ludzie bez własności najwięcej czasu zajmuje im wymyślanie pomysłów na temat sposobów pozbawienia własności posiadaczy.

Zagadnienie najistotniejsze, to zasady, które powinny spocząć u budowy Izby Wyższej - jej to bowiem skłonny byłbym przyznać rolę kreatora prawa. Izba Wyższa (Senat, Izba

Lordów, Izba Panów, Izba Pełna, Rada Starszych, Rada Państwa) powinna spełniać dwa konieczne wymogi: odrębności co do zasady rekrutacji (ani wybór, ani mianowanie); niezależności pochodzenia.

Izba wyższa pochodząca z wyborów, choćby najbardziej cenzusowych byłaby j e d y - n i e bardziej kompetentnie powtórzonemu rozkładem interesów partykularnych, znanych z Izby niższej. Senatorowie mówiliby mądrzej i dłużej, ich oblicze byłoby bardziej marsowe niż oblicze Marsa i bardziej katońskie, niż oblicze Katona, ale rezultaty dużo mniej wybitne - i tyle.

Izba wyższa pochodząca z nominacji Króla (no, ostatecznie może być dożywotni prezydent) "cierpiałaby na tym, że byłaby Izbą Przedstawicielską, nie przedstawiającą niczego, krom samowoli" - słusznie zauważył August Cieszkowski. Senatorowie (lordowie, parowie, panowie) zdolni byłiby przeszkodzić w użyciu prawa, nie w jego n a d u ż y c i u. Cieszkowski słusznie pyta: "jaką Izba Wyższa mianowana mogłaby być podporą Koronie, skoro też właśnie życie swoje zawdzięcza?". Jest jasne, że Senat nie mający oparcia poza Królem nie może być punktem oparcia dla Korony, szczególnie wówczas, gdy tej zależy na tym najbardziej. Prawa i obyczaje Anglii i Francji znały instytucję wpływania przez Króla na skład Izby wyższej. W Anglii - powołanie było wyjątkiem, dziedziczność regułą, we Francji - odwrotnie. I otóż, parostwo (Karta 1814 r. we Francji) wywiedzione od władzy królewskiej działało na niekorzyść Korony. Dowodem: przewaga Izby Poselskiej, tak przemożna przed rewolucją 1830 roku...

Tu dochodzimy do istoty problemu usytuowania Izby wyższej w systemie politycznym. Korona zrzekając się opieki nad Senatorami, ograniczając niezależność Senatu - sama zyskuje najwięcej. Konieczną swobodę w granicach prawa i moralności, kompetentną radę i sygnały ostrzegawcze. Ciśnienie interesów partykularnych zostaje przepuszczone przez szyb naturalnych zasad. Król nie musi angażować się w spory, w których nic wygrać nie może. Postawmy pytanie: w jaki sposób Głowa Państwa może zorganizować niezależność Senatu? Otóż poprzez uczynienie z Izby wyższej instytucji a r y s t o k r a t y c z n e j. Aby jednak utworzyć Izbę arystokratyczną trzeba mieć arystokrację, a jak pisze A.Cieszkowski ("O Izbie Wyższej i arystokracji w nowych czasach", 1908 r.) "chcąc arystokrację wskrzesić, wywołuje się m a r y, chcąc ją stworzyć - tworzy się k r e a t u r y"...

Osobiście przychylam się do poglądu A.de Tocqueville, że "ciało arystokratyczne to mąż stały i światły, który nie umiera". Senat powinien być kombinacją zasady dziedziczności, a więc arystokracji przez więź z przeszłością i szlachectwo - oraz zasady - kooptacji tej. arystokracji przez walory umysłu i charakteru. W społeczeństwie zawsze działa zasada doboru lepszych, w tym sensie arystokracja jest nieśmiertelna. Dziedziczność stanowi rękojmię moralną ("noblesse oblige"), materialną (własność) i obyczajową (wychowanie). Kooptacja - rękojmię mądrości. Izba w przypadku śmierci któregoś z senatorów uzupełniłaby swój skład decydując o zastępstwie tych, którychby do swego grona przyjmowała. Zmysł zachowawczy, poczucie godności (interesu) stanowiłoby najlepszą gwarancję poziomu Izby: jak pokazał Tocqueville, swoista "passion des places", gorączka za miejscami, odpowiednio wykorzystana niesie z sobą prawdziwie dobroczynny wpływ na życie publiczne. Król (głowa państwa) musiałby zagrać główną rolę w pierwszym akcie tej epopei: zamianować na fotele senatorów większość kandydatów. Pozostali, weszliby do Izby z prawa np. piastując najwyższe godności w państwie przez lat kilkadziesiąt: po jednogłośnie zatwierdzeniu przez obie Izby. Król po ustaleniu składu pierwszego Senatu nie mógłby mianować dalej senatorów: działałaby już wyłącznie zasada: dziedziczenia i kooptacji. Przed wyradzeniem się arystokracji w oligarchię służyłoby Królówi prawo sankcji ustaw. Król mógłby również (sugestia Cieszkowskiego) otrzymać prawo inwestytury na opróżnione w Senacie miejsce (z góry określona liczba miejsc?) - przy czym senator wybrany, ale nie potwierdzony (przez Senat) nie posiadałby głosu.

Jeśli się nie myli: wolność tylko wtedy będzie zagwarantowana, kiedy w mechanizm parlamentarny uda się wbudować czynniki równowagi (m.in. silny, prawodawczy, arystokratyczny Senat) zbudowane na - właściwym rodzajowi ludzkiemu - pierwiastku interesu własnego, egoizmu jednostki, rodziny, elity. Jest taka mądra myśl Mandeville'a: "Gdyby ludzie nie bóstwali sławy nie mieliby ani dosyć rozumu, ani dosyć cnoty, aby na nią zastrzążyć".

Wiersze

Jan Brzechwa

Poniższe wiersze Jana Lesmana (ps. "Brzechwa") pochodzą z tomików: *<Imię Wielkości>* oraz *<Strofy o Planie Sześcioletnim>*.

W Belwederze

Gdy Komendant w Belwederze
Nocą umierał,
Płakał gorzko ukochany
Jego General,
 łkali starzy przyjaciele
 i towarzysze,
 We łzach stali ministrowie
 Wskuchani w ciszę.
Rozpaczały żony, córki
i Polska cała,
Bo nikogo dotąd Polska
Tak nie kochała.

Przylecieli w noc majową
Trzej aniołowie
I usiedli nieruchomo
Przy Jego głowie.
"Miły Wodzu, Tobie także
Odpocząć trzeba,
Zabierzemy Twoją duszę
Prosto do nieba.
Żeby równa była słońcom
Na Mlecznych Drogach,
Żeby lśniła jako diament
W koronie Boga".

Nowa Huta

Na to, żebyśmy w Polsce socjalizm zbudowali
Potrzeba więcej maszyn, potrzeba więcej stali,
Potrzeba nowych ludzi, nowych szkół i wierszy
Wszystkie zegary biją. Trwa bitwa o rok Pierwszy
Planu Sześcioletniego. Pędzi koło Historii,
Mnożą się w nieskończoność liczby volt i kalorii.
Pulsują manometry, człowiek wyciąga ramię,
Przeobraża naturę, stare prawa łamie,
Szarpie wnętrzności ziemi, rudy w płomienie rzuca,
Plują wściekłą purpurą hut oszalałe płuca,
W piecach lawa szkarłatnym płomieniem się pali
Sta - li
Sta - li
Sta - li.

Wiecej szkół dla dzieci, wiecej książek i wierszy,
O, wizja romantyczna, stworzona po raz pierwszy,
Jakim Cię ma powitać hymnem, albo peanem
Poeta zadumany nad Sześcioletnim Planem?
Gdzie się znajdują słowa godne Twego patosu,
W jakich orkiestrach szukać dość natchnionego głosu?
Trzeba nam pióra przekuć na młoty i kilofy.
W ogniu hutniczych pieców trzeba hartować strofy,
W ogniu, co nasze serca krzepi i mózg doskonali
Sta - li
Sta - li
Sta - li.

Niech mnożą się traktory, które zaorzą pola,
Niech mnożą się maszyny i książki i przedszkola.
I jeszcze stal, i węgiel, i znów stal i węgiel.
Górnicy i hutnicy czują naszą potęgę.
Nie masz granicy szczęścia, gdy tworzy się epoka.
Płucem oddech szeroki, młodym droga szeroka,
Przyszłość należy do tych, czyja wola niezłomna,
Droge wskazał nam Stalin - chwała mu wiekopomna.
Świat nowy budujemy od podstaw, od podwalin
STA - LIN
STA - LIN
STA - LIN.

KOMUNISCI MÓWIA,

ŻE NIE MOGĄ

PORADZIĆ SOBIE

Z KOMUNIZMEM -

MY IM POMOŻEMY !

/Stefan Kisielewski/

Druk:

Wolna Drukarnia
im. Adama Heydla

WARSZAWA